Nr. 32. Warszawa, dnia 26 Lipca (7 Sierpnia) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

OBSTRUKCYONIZM NA WĘGRZECH.

Zaraza dotarła i do Pesztu. Od środka czerwca do końca lipca opozycya w sejmie węgierskim usiłowała przekrzyczeć, krzykiem powalić liberalną większość. Jawnie szło jej o jeden z punktów nowego, przez rząd liberalny wzniesionego projektu procedury; w zanadrzu kryła węża zasadniczej nienawiści i chowała go na zgubę ministrom i stronnictwu, które ich popiera. Nie była to, nie mogła być rachuba najbardziej nawet dziecinnego, ale bądź co bądź narzędziem logiki posługującego się umysłu: był tylko ślepy, nierozumujący po za wszelkiemi kategoryami logicznemi czynny, poryw namiętności. Wiedziała dobrze ta banda krzykaczy, że choćby rząd krzykiem powalili, a większość przekrzyczała, nicby jej z tego nie przyszło, bo najpierw o łup musiałaby się sama między sobą pobić, a potem niemoc jej liczebna, przy ogólnem usposobieniu narodu, nie pozwoliłaby jej ani z powalenia rządu, ani z przekrzyczenia większości skorzystać: rząd, w imię właśnie tych zasad wolności, któremi krzykacze paradują, musiałby na nowo wykluć się z dawnego jaja, a większość czy dzisiejsza, czy z nowych wyborów powstała, byłaby dość silną, aby i rząd z siebie wydać i ze stanowiska swego i przewagi w Izbie poselskiej nic nie uronić. Jeżeli w tym całym hałasie, w tej karczemnej zawierusze, była jaka polityka — to jedynie polityka histerycznego temperamentu, zasadzająca się na bezcelowem wywieraniu energii.

Ów czarny dla opozycyi punkt procedury karnej leży w § 16 nowego projektu. W dotychczasowych porządkach proceduralnych wszelkie sprawy o obrazy osobiste, spełnione za pomocą prasy, od chwili częściowej reformy średniowieczności jeszcze przejętego prawodawstwa węgierskiego, należały do sądów przysięgłych. Wolność tę życie umiało przerobić na nadużycie: człowiek nie był pewnym poszanowania dla swego honoru, bo stronniczość, namiętność polityczna, mała zaściankowa, parafiańska niechęć, wreszcie osobista niegodziwość — mogły mu je w każdej chwili wydrzeć, uwalniając sprawcę obelgi od odpowiedzialności. Pobudki etyczne nakazały zmienić prawodawstwo, do którego obyczaje narodu nie dorosły. To właśnie uczynił rząd Banffy'ego; ale dochowując wiary zasadzie wolności obywatelskiej i odpowiedzialności rządu i jego organów, tkwiącej w samym duchu konstytucyonalizmu, rząd węgierski uczynił wyjątek dla urzędników, aby poddaniem ich pod sądownictwo zwyczajne nie pozbawiać obywateli tych rękojmi, jakie *in thesi* tkwią, tkwić powinny w instytucyi sądu obywateli przysięgłych. I to był ów § 16. Obrońcy wolności nie mieli co bronić; bo statystyka sama przekonywała o nadużyciach w zakresie stosunków prywatnych w łonie samego społeczeństwa, a ostrze polityczne sam rząd z góry przytępił przez całkiem liberalne, w duchu swobód konstytucyjnych ustanowienie powyższego wyjątku.

Nie zdołanoby też aż półtora miesiąca poświęcić na przekrzykiwanie ministrów i większości sejmowej, gdyby chciano strzelać tylko do owego § 16-go. Postanowiono strzałami obrzucać wszystko, cokolwiek się na stole Izby pojawi z pozatkowania rządu. Właśnie rząd wzniósł był nowelę o premiach od cukru wywożonego, nowelę konieczną z powodu zmiany prawodawstwa w tym przedmiocie w drugiej połowie Habsburgii. I tu w zasadzie nie było co bronić, o co walczyć; ale temperament nakazał i z cukru skorzystać dla polityki nienawiści ku tym, którym liczba sama daje panowanie. Gdy się już wykrzyczano nad § 16, zaczęto krzyczeć nad nowelą od cukru. Sążniste mowy o głupstwach, hałasy wszczynane w chwili, gdy którykolwiek z mówców przeciwnych głos zabierał, argumenta *ad hominem* ubliżające logice i powadze umysłowej najpierwszego w narodzie zgromadzenia, wrzaski, tupanie nogami, bębnienie zasadnicze w pulpity — tyle zajęły czasu, że co można było zrobić we dwa dni, na to zużyto aż trzech tygodni i nareszcie uchwalono — wszakże jeszcze nie ostatecznie — niewinną, ale na wysoki piedestał polityczny podniesioną ustawę cukrową, wtedy dopiero, gdy, mimo całej polityki i strategii opozycyjnej, większość zdołała przeprowadzić uchwałę, przedłużającą czas trwania posiedzeń.

A tymczasem budżet normalny, bez którego państwo konstytucyjne żyć nie może, ugoda dziesięcioletnia z Austryą, bez której również pomyśleć nie można współistnienia obu połów monarchii habsburskiej — czekają na progu mądrości narodowej, aby je wpuścić do siebie raczyła. Zmarnowano tyle drogiego czasu na rzeczy liche i nędzne, niekonstytucyjne i niepaństwowe nawet, że teraz na poważne i niezbędne już go starczy. Mądrość narodowa radzić sobie musi wybiegiem tymczasowości: tymczasowy zapewne na jeden kwartał budżet, tymczasowa, na jeden rok, ugoda ekonomiczna. I do tego nawet nie zmiękłaby dostatecznie zakamieniałość mniejszości sejmowej, gdyby nie groźba wprowadzenia do Izby węgierskiej owej *cloture*, którą Gladstone swego czasu zastosował względem Irlandczyków w Izbie gmin angielskiej. Znużyła wreszcie tych radców narodowych z opozycyi ich własna energia; powiał na nich jakiś po za ich mózgami czynny rozsądek i sumienie obywatelskie. Spostrzegli, że wprowadzą nieład i zamęt tam, gdzie go przecież nie pragną: bo synami ojczyzny do-

brymi są, tylko im namiętność nie pozwala na rzeczywisty, o południu i o północy trzeźwy i czysty patryotyzm w woli i czynie, a nietylko w sercu i na ustach. Objawiać się też zaczyna skłonność do porozumienia z rządem i zaprzestania obstrukcyi. Łapczywo dziennikarstwo pochwyciło już błyszczące szkiełka za drogie kamienie; ale czynu, faktu spełnionego jeszcze niema. Tak się marnuje wolność, gdy się z niej źle korzysta. Nad tym parlamentaryzmem i obstrukcyonizmem europejskim powinniby pomyśleć ludzie z zawodu uprawiający mądrość polityczną, i w cieplarniach rządowych, i na grzędach uniwersyteckich.

Tydzień polityczny. Pokój turecko-grecki jest ciągle jeszcze mythem. Telegraf zaręcza, że już w tym tygodniu znajdą się pod preliminaryami podpisy; nauczą, co zrobili lub zrobią dyplomaci z art. II, z art. VI, z innemi, ale dziennikarze nie wiedzą nawet, ile jest tych wszystkich artykułów, od tak dawna już spisanych i tylko obecnie dla ostatecznego zredagowania roztrząsanych. Przemogła opieka Niemiec nad Turcyą, w nowej expektoracyi *Hamburger Nachr.* znajdująca dla siebie ostoję: nakazano Grecyi poddać się pod kontrolę finansową Europy i przygotować pierwsze 1 i pół mil. kontrybucyi wraz z 400,000, w przybliżeniu oznaczonemi na wynagrodzenie szkód prywatnych (w mądrej wyprawie epirskiej). Turcy z Tessalii ustępować będą w miarę spłacania kontrybucyi, początek zrobią z Volo. Król Jerzy ma jakoby zamiar abdykować, jeżeli Europa woli swej nie zmieni, i przyjmując ostatecznie całkowitą propozycyę Niemiec, również i nad wypłatą dawnych długów greckich rozciągnie swój dozór. Pod „Europą" rozumieć potrzeba zapewne Niemcy, Włochy i Francyę, a prawdopodobnie Rosyę i Austryę: Anglia wolałaby wyłączną kontrolę własną. Nieporozumienie chroniczne nie zawodzi i w tej chwili. Nie sama tylko Turcya, nie nagła duchowa otyłość jej sułtana a patryotyzm staro-Turków opóźnia finał całej symfonii wygrywanej od wiosny: dyplomacya europejska także robi swoje, aby o chlebie i wodzie trzymać tak długo to dziennikarstwo, którego największą właśnie cnotą jest ciekawość, a geniuszem niecierpliwość.

W Portugalii wrzenie. W Oporto i Lizbonie stan oblężenia. Zaczęło się to jeszcze dwa tygodnie temu, ale przy szczelnem obsaczeniu telegrafu, dziennikarstwa i granicy, dopiero przed tygodniem telegram urzędowy lizboński obwieścił prawdę Europie. Początek dali kupcy w Oporto: wzburzyli się przeciwko projektom finansowym gabinetu Leona de Castro, który, obejmując w r. b. rządy dla Regeneradorów, właśnie zobowiązał się był wcale nowych nie nakładać podatków i radzić sobie kredytem. Na początku sierpnia już miało być spokojniej: zobaczymy.

Cesarz Wilhelm, wróciwszy d. 31 z. m. z północy, wysłał już ks. Henryka z flotą do Kronsztadu; sam wyjechać miał d. 5 b. m. do Petersburga. Zabiera ze sobą i kanclerza i podkanclerzego Waldersee'go wysłał do Bismarcka dla utorowania sobie drogi do Sachsenwaldu, którą przejechać się zamierza, gdy będzie wracał z Petersburga. Bismarck ma mu ostatecznie poradzić coś na demokracyę socyalną.

Podróż hr. Gołuchowskiego do Francyi traci coraz bardziej charakter kuracyjny. *Nowoje Wremia* wręcz już przywiązuje jej znaczenie polityczne: Austrya, zbliżywszy się w polityce wschodniej do Rosyi, musiała zbliżyć się i do Francyi, która z Rosyą we wszelkich sprawach polityki zagranicznej idzie ręka w rękę. Minister austryacki ma dopiero d. 18 b. m. wyruszyć z Francyi.

Anglicy mają zaburzenia w Indyach, w Punie, na południo-wschód Bombayu i w okolicy ludność wzburzyła się przeciw rozporządzeniom policyi lekarskiej. Uwięziono redaktorów kilku organów. Policya wprowadziła teroryzm wojenny. Około Kaszmiru w Czytralu krajowcy w d. 27—30 lipca srodze nacierali na garstkę załogi angielskiej.

Komisya panamska śpi przez lato. Ministrowie Hanotaux, Darlan, Bartoux zachęcili ją do snu odmówieniem akt Panamczyków.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Naród dla Mickiewicza.

II.

Jakkolwiek, oprócz stadka dziennikarskich kruków, pragnących, ażeby całe społeczeństwo zgniło dla dostarczenia im żeru i cieszących się „obojętnością" ogółu wobec pomnika Mickiewicza, nikt z nas nie wątpił o powodzeniu tego narodowego przedsięwzięcia, rezultat wszakże składek przeszedł najśmielsze przypuszczenie. Jeśli zważymy, że te składki spłynęły w przeważnej mierze z Królestwa, gdyż Galicya i Poznańskie nie przysłały razem 500 rs., a najbogatsi milionerzy polscy nie raczyli zaofiarować ani rubla; że nawet z udziału tutejszej ludności wyłączyli się uderzająco ziemianie (t. zw. „szlachta"), jeżeli dalej zważymy, że olbrzymią sumę złożyło społeczeństwo małe i ubogie, że niedawno to samo społeczeństwo na ten sam cel złożyło Krakowowi dziesiątki tysięcy rubli i zostało sromotnie zawiedzione; że komitet, mianowany do wystawienia pomnika Mickiewiczowi w Warszawie zawierał zaledwie parę osób, znanych ogółowi i cieszących się jego zaufaniem — jeśli zważymy te okoliczności — to zgromadzenie *dwustu kilkudziesięciu tysięcy rubli* w ciągu *dwóch miesięcy* jest wypadkiem zdumiewającym i bardzo wymownym *). Świadczy on o nadzwyczajnem znaczeniu poety dla jego narodu i o potężnem uczuciu czci narodu dla poety. Przed tą wielkością, przed tym stosunkiem i przed tym objawem tylko zwyrodniała obojętność lub drapieżna dzikość nie uchyli głowy. A hołd ten okaże się jeszcze bardziej imponującym i wzruszającym, jeśli nie poprzestaniemy na ocenie sumy ogólnej, lecz rozpatrzymy jej części składowe. Przekonywamy się z nich, że nie garstka bogaczów sprawiła pomnik Mickiewiczowi (najwyższa skład-

*) Dwa przykłady nadadzą temu faktowi jeszcze wyraźniejsze znaczenie. Według *Przeglądu Literackiego* na pomnik Mickiewicza w Krakowie wpływało z Galicyi składek dobrowolnych *rocznie* 1,200 złr., tymczasem w Królestwie *jeden dzień* przynosił obecnie conajmniej 4,500 złr. Według *Rusk. Wiedomosti*, na pomnik Puszkina zebrano z całej Rosyi w ciągu lat kilku 100,000 rs., a na pomnik Gogola w ciągu lat 17 — 60,000.

---

13)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XXVIII.

Na spodzie okrętu.

Miesiąc nie zaglądaliśmy na spód okrętu.

Zmiana wielka.

Kajdan niema, golone „połowy czaszek" poobrastały, aresztanci „zrównali" włosy — podobni są bardziej do ludzi. Nie sprawiają takiego odpychającego wrażenia zwierząt złapanych i zapędzonych do klatek.

Poznali się, wiedzą już o przyszłości swych towarzyszów.

Przeszłość wcale ich nie zaciekawia, nie robi żadnych różnic.

Ojcobójca nie ma się czem szczycić, nie ma powodu uważać się za wyższego od człowieka, który popełnił ohydną zbrodnię na własnej córce.

Najważniejsza jest przyszłość. Dzieli ona ich na kasty: na arystokratów, plebejuszów i „potępieńców" katorgi.

„Potępieńców śród potępionych."

Im smutniejsza oczekiwana przyszłość aresztanta, tem większym on jest arystokratą. Tutaj wszystko naodwrót.

„Arystokratyzm" określony jest na mocy przyszłości, jak u nas na zasadzie przeszłości.

To są „arystokraci nieszczęścia."

Najsmutniejsza arystokracya w świecie.

Przyjrzyjmy się z osobna każdej klasie tego społeczeństwa oryginalnego.

* * *

Arystokracya.

Arystokraci katorgi — to długoterminowi, szczególnie zaś — bezterminowi.

Ludzie, skazani na ciężkie roboty bezterminowo, na 20 lat, z dodatkiem takiej ilości uderzeń, która prawie równa się śmierci, z pozbawieniem prawa przejścia kiedykolwiek do szeregów poprawczych, uwalniani od robót tylko w razie ciężkiej choroby lub niedołęstwa, ale z warunkiem dokonania żywota w więzieniu.

To są ludzie, których jedyną nadzieją jest tylko ucieczka.

Ludzie, którzy nie mają po co „starać się"; staraj się lub nie — wszystko jedno: nawet do szeregów poprawczych nie będziesz miał wstępu.

Niema co się zasługiwać wobec władzy; lepiej nie będzie.

Ludzie, którym wszystko jedno: odezwać się zuchwale wobec władzy lub wyprawić człowieka na tamten świat.

I w pierwszym, i w drugim wypadku „zadwiczą."

Ludzie, których nie można zastraszyć śmiercią: oni są skazani na życie — na jakie życie!

To są ludzie „niezłomni."

Co oni mają do stracenia?

Długoterminowi — to bywalcy.

Po więzieniach dużo rozmaitych ludzi widzieli. Wszystkie porządki katorgi, jak swoich pięć palców znają.

Noszą w sobie tradycye i podania katorgi. Dbają o dotrzymanie „słowa aresztanckiego."

Jakiemuś krótkoterminowcowi wszystko jedno: narobi dużo złego, złamie słowo i umknie.

Długoterminowi zaś całe życie tutaj spędzić muszą. I gdy władza straci wiarę nawet w „słowo aresztanckie," znikną wtedy i te drobne ulgi, które choć trochę czynią znośniejszem położenie skazańca tej kategoryi.

Długoterminowi — są to sędziowie, rozpatrują wszystkie sprawy katorgi.

Są jednocześnie i katami, wykonawcami wyroków katorgi.

* * *

Krótkoterminowców z pogardą nazywają „czałdonami."

Ciekawe jest pochodzenie tego wyrazu. Przywędrował on z Syberyi i właściwie znaczy „człowiek wolny."

— Wardak! — z pogardą nazywa zbiega włościanin syberyjski.

— Czałdon! — z niemniejszą pogardą odpowiada zbieg.

— Ja, zbieg, człowiek wolny, nikomu nic nie płacę, żadnej władzy nie znam, do miejsca nie jestem przykuty; gdzie chcę, tam idę.

A „czałdon," jakiż to człowiek? Siedź na miejscu, płać i drżyj!

ka dosięgła zaledwie 5,000 rs.), ale masa narodu i to przeważnie ta biedna, szara masa, która ofiarować może tylko wdowie grosze. Długie, niezliczone szeregi składek kopiejkowych stanowiły widok tak rozrzewniający, że niepodobna było patrzeć na nie bez kojących inne smutki łez rozradowanego serca. Zdawało się, że widzimy tłumy, zmieszane z wszystkich stanów, a przeważnie stanowiących spód narodu, które przechodzą przed wielkim cieniem i zginają swoje kolana.

Całość tych ofiar wskazała, że społeczeństwo nietylko pragnie wystawić Mickiewiczowi pomnik, ale pragnie mu wystawić wspaniały; w tem zaś życzeniu wyraża się nie samo uczucie, lecz zarazem głęboki rozum. Tak jest! Tu nie chodziło o „skromną pamiątkę“ — jak chcieli i podobno chcą jeszcze fałszerze opinii publicznej, mianujący się jej wiernymi tłomaczami — nie chodziło o jakąś podwórzową ozdobę, o jakiś duży przycisk, o jakieś przyozdobienie zaułka miejskiego, ale o taki posąg, któryby samą swą wielkością i okazałością wyrażał ważność i dostojeństwo w społeczeństwie tego, komu ono go wystawiło, któryby jednych uczył a drugim przypominał, kto jest najdroższym tej ziemi synem i tego ludu mistrzem. Czy komitet spełni nałożycie to zadanie — nie wiemy.

Bo my właściwie nic nie wiemy po za tym, niedającym się ukryć faktem, że naród złożył na pomnik Mickiewicza daleko więcej, niż komitet żądał, że zebrawszy 200,000 rs., postanowiono wstrzymać potok składek, który dotąd ciągle płynie i przez stawidło się przelewa. Niektóre pisma rosyjskie, a za niemi niektóre polskie położyły sobie na zęby mniemane warcholstwo w tej sprawie, dowodząc lub szydząc, że zaledwie Polakom pozwolono uczcić swego poetę, zaraz chwycili się za czuby. Nie dziwimy się zmyśleniu tych gazet rosyjskich, które w najczystszem oku naszem zawsze ogromną belkę dostrzegą; ale jak ten paszkwil mógł się wyłądz w organach polskich, dobrze rzeczy świadomych i o nią dbałych, tego nie pojmujemy. Bo gdzież w naszej prasie wybuchły namiętne walki, gorszące kłótnie i napaści na komitet? Żądano od niego jawności w uchwałach, krytykowano jego bezapelacyjne wyroki, dawano mu rady, starano się dobrą wolą i szczerem przekonaniem pomódz mu do wprowadzenia przedsięwzięcia na najlepszą drogę — prawda. Ale czyż to jest warcholstwo i bokserskie potyczki? Jakto, więc o nowej operetce, wywożeniu śmiecia, urządzeniu kląbów miejskich, kartach pobytu — długo i szeroko rozprawiać można, a o pomniku dla Mickiewicza należy milczeć i pokornie wysłuchiwać postanowień komitetu? Dzika i śmieszna pretensya! Ale mniejsza o nią. Zaznaczyliśmy ją dlatego tylko, ażeby wylegitymować nasz głos obecny z prawa do odzywania się w tym ważnym przedmiocie.

Chociaż komitet nie był wyrazicielem woli społecznej, lecz delegacyą małego kółka znajomych i własnych swoich chęci, chociaż większość jego nie posiadała potrzebnej kompetencyi w podjętem zadaniu, nie myśleliśmy i nie myślimy zaprzeczać mu prawowitości. Sądzimy jednak, że on zarówno ze względu na swe pochodzenie, jako też na doniosłość celu powinien był za zasadę swych działań przyjąć ścisłą łączność z opinią kraju i nie przywłaszczać sobie wobec niej roli władzy niezależnej. Tymczasem on wcale nie raczył zaznajamiać nas ze swymi zamiarami, tylko z nieodwolalnemi postanowieniami. Nie uważał nawet za stosowne uprzedzić społeczeństwa, że suma składek ograniczona została przez niego do 200,000 rs. i poprostu zamknął drzwi kasy wtedy, kiedy ona już do tej miary napełniła się. Również edyktami zawiadomił, że do wypracowania pomnika powołał p. Godebskiego, że jego projekt przyjął, ażeby zaś niecierpliwe dzieci zbyt nie naprzykrzały się, obiecał im kiedyś pokazać ten projekt. Naturalnie dzieci, zobaczywszy cacko, mogą skrzywić się, krzyczeć, płakać, ale wpłynąć na jego zmianę nie mogą. Koroną tego postępowania było przesłane (i niestety, w niektórych pismach wydrukowane!) podziękowanie redakcyom za ich pośrednictwo w zbieraniu składek. My byliśmy przekonani, żeśmy spełniali najmilszy obowiązek obywatelski względem społeczeństwa i jego wielkiego poety, a tu nam powiedziano, że to był akt grzeczności względem komitetu. Dziwne nieporozumienie!

Nie podnosilibyśmy tych uchybień formalnych, gdyby w nich nie tkwiło niebezpieczeństwo dla samej sprawy. Osobiście mieliśmy i mamy dotąd to przekonanie, że pomnik Mickiewicza powinien wyjść z ograniczonego konkursu międzynarodowego. I my wolelibyśmy, ażeby to dzieło stworzył rodak, ale jeżeli między rodakami niema rzeźbiarza, który okazał swój geniusz w pomnikach — czyż nie lepiej posłużyć się siłą obcą, niż na długie wieki stawiać robotę słabą? Wreszcie skoro już koniecznie chcieliśmy mieć pomnik ręki swojskiej, należało przynajmniej powołać do konkursu wszystkich znakomitszych rzeźbiarzów polskich. Tymczasem komitet usunął od udziału nietylko artystów zagranicznych, ale nawet swoich — i powierzył wykonanie pomnika p. Godebskiemu. Dlaczego? Uczynił to „nauczony smutnem doświadczeniem konkursu krakowskiego.“ A czegóż ten konkurs go nauczył? Oto tego, że p. Godebski na pomnik godny Mickiewicza zdobyć się nie

---

„Czałdonami“ przez pogardę nazywają i krótkoterminowców, skazanych na ciężkie roboty do lat sześciu.

„Czałdon“ jest to zupełnie co innego, niż długoterminowiec. Najczęściej jest to człowiek, który dopuścił się przestępstwa skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Czałdon jeszcze się żywi nadzieją.

W jego duszy jeszcze jest iskierka, która go ogrzewa.

Marzy on o rychłem uwolnieniu z więzienia, osiedleniu i zbudowaniu domku.

Śród tej kategoryi jest mnóstwo ludzi, którzy nietylko mają nadzieję, ale i wiarę w to, że na „nowem miejscu“ rozpoczną „nowe życie.“

Piszą listy do domu, proszą żony, ażeby przyjechały, przypominają im „przysięgę, złożoną przed ołtarzem.“

W czałdonie budzą się wszystkie uczucia ludzkie.

Tęskni do swoich blizkich i żyje tylko myślą o nich.

„Chciałbym zobaczyć synka — pisze — pewno już wyrósł duży i dokazuje.“

„Napisz mi — prosi inny — jak tam Baska, czy zaczęła już mowić, czy umie „tata“ wymawiać!“

Łzami są pisane listy czałdonów.

Nadzieja wszakże ich nie opuszcza.

I ludzie ci są zmieszani z innymi, którzy wraz z nadzieją lepszej przyszłości, stracili wszelkie pierwiastki człowieczeństwa!

Nie dość, że są zmieszani; zależą jeszcze od nich.

Czałdoni to jest plebs, lud pogardzony.

Czałdon — człowiek bez nadziei. Musi „starać się,“ wobec władzy „zasingiwać się,“ brać udział w takich przedsięwzięciach, gdzie można głową nałożyć.

Arystokracya katorgi patrzy na czałdonów z pogardą i nienawiścią.

— Gdyby tych dyabłów nie było, ilobyśmy dzieł dokonali.

Czałdon zawsze może zdradzić, bojąc się o własną skórę, gdyż on ma jeszcze o co się bać i drżeć.

A więc czałdonów gnębią, straszą. „Nie uważają za ludzi!“ — jak się skarżył jeden z nich w liście do rodziny.

* * *

Klasą zupełnie pozbawioną praw, prawdziwymi potępieńcami na tym świecie „potępionych,“ są włóczęgi.

Ich położenie jest zbliżone do położenia niewolników w starożytnym Rzymie.

— Włóczęga! — to najpogardliwsza nazwa. Pozbawiony on jest nawet „słowa aresztanckiego,“ które posiada katorżnik.

— Zmiłujcie się, wielmożny panie; czyż to aresztant? To włóczęga! — mówi obrażony katorżnik, gdy naczelnik, łając włóczęgę, przez omyłkę nazywa go „aresztantem.“

„Aresztant,“ to przecież bądź co bądź stan.

— Wy nie aresztanci, lecz niegodziwcy! — łajał pewien kapitan swoich „pasażerów“ podpokładowych.

A włóczęga — „to tfu.“

Imienia swego nawet nie ma! Dzisiaj Iwan, jutro Semion. Szukaj, wołaj go! Poprostu psi syn, nie człowiek.

I oto ci pozbawieni praw potępieńcy, jak niewolnicy w Rzymie starożytnym, posiadają całą „uczoność,“ całą „wiedzę“ katorgi.

Aresztanci to ludzie ciemni, przeważnie niepiśmienni.

Włóczęga dużo widział w swojem życiu, gdy aresztant najczęściej nic nie widział, prócz wsi i więzienia.

Nawet swoje miasto powiatowe pierwszy i ostatni raz zobaczył, gdy do sądu go przyprowadzono.

Włóczęgi listy piszą aresztantom, nawet stylizują.

I całą drogę mogą opowiedzieć.

— Oto minęliśmy Ahekt, miasto tureckie, a teraz będzie Kolumbia, miasto chińskie.

Włóczęga i prośbę umie ułożyć, wie, do kogo i w jakiej formie pisać.

Włóczęgami pogardzają; ale przed zawinięciem do portu, gdy trzeba pisać listy, włóczęga jest człowiekiem najbardziej poważanym. Nadskakują mu, starają się go pozyskać pochlebstwem. Wtedy staje się pierwszą, najbardziej szanowaną osobą na spodzie okrętu.

Włóczęga jest wszystkiem: uczony geograf, pisarz, doradca prawny katorgi.

I gdyby nie było tych ludzi pogardzanych, wyzutych z praw, katorga nie mogłaby się nawet poskarżyć.

Byłaby zupełnie niema i bezbronna.

(C. d. n.).

może. Wprawdzie przy drugim turnieju przyznano mu między zapaśnikami pierwszą nagrodę, ale projektu jego do wykonania nie przyjęto. Czy podobna przypuszczać, że artysta, który wtedy uległ zbyt trudnemu zadaniu, spełni je dziś, gdy liczy już 60 kilka lat?

Być może, iż komuś ten nasz sceptycyzm wyda się przedwczesnym, gdyż utworu p. Godebskiego nie znamy. Nie nasza to wina, lecz komitetu, że zmuszeni jesteśmy stawiać hipotezy, zamiast sądzić fakty. Zresztą uczczenie Mickiewicza godnym pomnikiem jest tak gorącem pragnieniem naszego serca, że nikt radośniej od nas nie wyrazi swej wdzięczności i uznania p. Godebskiemu, skoro na nie zasłuży. Dopóki zaś mamy przed oczyma jego dotychczasowe prace, nie opuszcza nas obawa. Wyrażamy ją zaś szczerze i z naciskiem dlatego, że tak doniosłej dla narodu sprawy nie należy załatwiać dziennikarskimi dygami i grzecznostkami, lecz trzeba wydobyć na wierzch wszystko, co jej usłużyć może. Nie wymagamy od komitetu, ażeby on uwzględniał wszelkie sądy i starał się dogodzić każdemu życzeniu; ma on zupełne *prawo* postępować według własnego przekonania, ale zarazem ma *obowiązek* wysłuchać poważnych głosów opinii publicznej. I dlatego, jeśli przyjęty przez niego projekt pomnika Mickiewicza zbyt się sprzeciwi nadziejom i pragnieniom społeczeństwa, komitet nie powinien iść uparcie do końca fałszywej drogi, lecz cofnąć się z niej w porę, pamiętając, o co i o kogo tu chodzi.

Z GALICYI.

Chwila oczekiwania. — Autonomia narodowa i wartość tego systemu; autonomia krajowa i broszurka Dieduszyckiego. — Znaczenie Wydziałów krajowych wogóle. — Połączenie dwóch władz, politycznej i autonomicznej w jednej. — Jakiem jest Koło? — Udział jego w sprawie gimnazyum w Cieszynie. — Gautsch. — Koło i ks. Świeży. — Lwów i p. Małachowski jako obrońca Niemców. — Tyfus i tabliczki dla nieumiejących czytać. — Rozbudzenie się Galicyi w obronie praw Szlązka.

Teraźniejsze położenie polityczne w Austryi podobne jest do tego stanu nieba, kiedy lada chwila może błysnąć słońce lub spaść burza. Żadne optymistyczne recepty nic na to nie pomogą. Nic dziwnego, że o tem położeniu mówimy, gdyż nas przedewszystkiem ono zajmuje i dotyka. Mimowolnie wszyscy mają na ustach pytanie: jakie stanowisko zajmą w przyszłej Radzie państwa nasi przedstawiciele? Materyału palnego nagromadziło się dużo — nie wiadomo tylko, kto lont przyłoży.

W tej chwili mamy względny spokój, o tyle, że prezydent ministrów odpoczywa w Busku, cesarz w Ischlu, a Gautsch zbiera ciche laury za swoje umizgi sprzedajne do Niemców. Zanim jednak ministeryum udało się na spoczynek, postarało się o to, ażeby było o czem myśleć przez czas wakacyj. Skorzystamy z tego chwilowego uspokojenia się atmosfery politycznej, ażeby się rozpatrzeć w istniejącej sytuacyi.

Rozporządzenia językowe, wydane dla Czech i Morawy, rozjątrzyły Niemców, którzy, przyzwyczaiwszy się do uciskania narodowości słowiańskich w Austryi, nie mogą się pogodzić z tem, że nareszcie dano uciskanym trochę sprawiedliwości. Rozporządzenia te dotykają wszakże nietylko uregulowania codziennego stosunku między Niemcami a Czechami, ale są sprawą państwową pierwszorzędnego znaczenia, wskazującą drogę do innego ukształtowania się politycznego Austryi. Z tego względu wywołały one taki gorący protest niemieckiej mniejszości. Teraz, gdy burza uspokoiła się nieco, zaczęto spokojniej szukać drogi. Przywódca Niemców czeskich, dr. Schlesinger, patrząc na to, co się dzieje nie z państwowego, ale ze swego partykularnego stanowiska, upatruje przyszłość Austryi w *autonomii narodowej*, opartej na etnograficznem rozgraniczeniu narodowości. Według jego zdania, federacya nie odpowiada mocarstwowemu jej stanowisku. Byłby to pogląd może słuszny, gdyby Austrya była państwem jednolitem pod względem narodowości — ale wówczas nie byłoby potrzebne rozgraniczanie. Wobec takiego stanu, jaki istnieje, narody składające Austryę mają prawo powiedzieć: co mnie twoje mocarstwowe stanowisko obchodzi, kiedy ja jestem dzięki tobie głupi, ubogi i bezsilny. Ja nie chcę być narzędziem w twojem ręku, ale pracować dla siebie; ty bądź silną moją siłą, zamiast ja mam być nędzarzem dzięki twojej sile. Takie rozumowanie leży niezawodnie na dnie teraźniejszej opozycyi, przeciwko centralizmowi niemieckiemu. Federacya bynajmniej straszną nie jest, nie w granicach wszakże etnograficznych, ale politycznych przeprowadzona, jak w Szwajcaryi.

Autonomia narodowa natomiast, jako gwiazda zbawienia, jest najpłytszym ze wszystkich pomysłów organizacyi państwowej. Byłby on bardzo dobrym, gdyby państwa kształtowały się według granic etnograficznych i gdyby rozgraniczenie to opierało się o punkty niesporne. Jest to zasada tak niedorzeczna z gruntu, że nie warto o niej rozprawiać, dość wskazać, że nie ma na całym świecie ani jednej organizacyi państwowej i autonomicznej, opartej na tej zasadzie, gdyż nie godzi się ona zupełnie z pojęciem państwa, które nie jest bynajmniej wytworem sztucznym, a tembardziej jednolitym, ale powstało skutkiem warunków życia przeszłości i tych warunków ani zrzec się nie może, ani o nich zapomnieć. W praktyce próbowano już ugodę czesko-niemiecką oprzeć na tej podstawie przed kilku laty, ale stronnictwo staro-czeskie, które się na nią zgodziło, zostało przez cały naród odtrącone.

Hr. Wojciech Dzieduszycki w broszurze (po niemiecku napisanej) p. t. *Program stronnictw autonomicznych w Austryi* wyraził myśl, która, że tak powiem, oddawna unosi się w atmosferze politycznej. Tytuł powyższy o tyle wymaga wyjaśnienia, że chodzi tutaj o *autonomię krajów*, nie zaś *narodowości*, jak Schlesingerowi. Autor broni potrzeby rozszerzenia samorządu krajów, tj. już ukształtowanych politycznie niewielkich organizmów państwowych, składających Austryę. Sprawa, że tak powiem, równouprawnienia narodowego, o której nie mówi otwarcie, o ile z całości rozprawy wywnioskować można, byłaby chyba rozwiązaną, jak w Czechach, na drodze ustawodawczej, a w takim razie państwo miałoby ostatnie słowo. Twierdzi on słusznie, że spory narodowościowe ani w Radzie państwa, ani przez nią załatwione nie będą i tak pożądanego pokoju wewnętrznego nie sprowadzą; jedynie właściwą do tego instytucyą może być sejm krajowy, jako ciało ustawodawcze, znające najlepiej potrzeby, interesy i rzeczywisty stan kraju. Wogóle żąda on rozszerzenia autonomii sejmu o tyle, ażeby ten miał w zakresie szkolnictwa i finansów zupełną samodzielność, a Wydział krajowy, jako organ wykonawczy, posiadał władzę i siłę nie nominalną, jak teraz, lecz rzeczywistą. W obecnym stanie rzeczy rząd przekracza granice, zakreślone mu konstytucyą — przynajmniej co do szkolnictwa, trzeba więc, ażeby zamiast uchwalania ogólnych zasad, według których szkoły średnie i ludowe mają się kształtować, nie narzucał szczegółowych przepisów, jak to czyni teraz.

Wydziały krajowe, niby samodzielne, mające na celu ekonomiczną stronę życia krajów, nie posiadają jednak ani dość władzy, ani siły finansowej. Idą one równolegle w swej pracy z państwem, o tyle wyższem od nich, że posiada władzę wykonawczą. W ten sposób wytwarza się w kraju dwie władze, dwie instytucye najwyższe, których cele i drogi rozchodzą się nieraz. Instytucya autonomiczna (Wydział krajowy) z Radami powiatowemi i instytucya polityczna (Namiestnictwo) ze starostwami utrzymywane są kosztem kraju; do rozmaitych idyotyzmów podatkowych ogólno-państwowych przychodzą jeszcze dodatki podatkowe na cele autonomiczne, co wszystko razem wziąwszy, pożytku nie przynosi żadnego, a przyczynia się tylko do większego osłabienia siły podatkowej i jest jedną z najważniejszych przyczyn panującej nędzy w Galicyi. Rozszerzenie autonomii krajów pozwoliłoby, według mniemania p. Dzieduszyckiego, zaradzić złemu. Pomimo powszechnej opinii o bezpłodności pracy Wydziałów krajowych, nie ma wszakże ani jednego kraju w Austryi, któryby się zgodził na usunięcie ich, a to dlatego, że przedstawiają one cień niezawisłości, że pomimo słodkich umizgów, do rządu austryackiego panuje ogólna nieufność.

Połączenie dwu władz dziś w każdym kraju, niby niezależnie istniejących, w jednej instytucyi byłoby pożytecznem, ale w takim razie, po zniesieniu wydziałów powiatowych, bardzo mało czynnych, urzędnicy polityczni musieliby być odpowiedzialni przed sejmem, ażeby utworzyć jednolity rząd krajowy.

Oto w najszerszym zarysie program stronnictwa autonomistów w Radzie państwa, wypowiedziany przez Dzieduszyckiego. Jest on zapewne i programem Koła polskiego w wiedeńskiej Radzie państwa na przyszłość. Muszę wyznać szczerze, że jest to od lat trzydziestu prawie pierwszy program polityczny możebny do wykonania, dążący do uwolnienia Austryi z pod przewagi centralistycznej garstki Niemców i otwierający przed państwem nowe widoki ukształtowania się. Sporów narodowościowych on nie rozwiąże, gdyż zależą one, obok innych przyczyn, od społecznego i politycznego wykształcenia różnych drobnych, niedojrzałych do żadnego życia a pretensyonalnych narodowości, ale usunie je z areny walk parlamentarnych, uczyni sprawami miejscowemi i do uspokojenia wzburzonych fal przyczyni się bardzo.

Co innego wszakże program, a co innego wykonanie. Nasze Koło polskie nie dało dowodów dużej energii tam, gdzie chodziło o interesy krajowe, powodując się uległością i lojalnością bezpotrzebną, a zapominając o lojalności względem własnego kraju. Przeważały i przeważają w niem żywioły bezbarwne politycznie, obojętne lub zbyt mało samodzielne, a naginające się do chwilowych powag politycznych. W takich warunkach Koło polskie potrafiło uzyskać niejednokrotnie drobne ustępstwa dla kraju, ale w ważnych sprawach, o ile one dotyczyły narodowych i materyalnych interesów polskich, musiało uledz nic nie zyskawszy. Przyczyną tego było bardzo często politykowanie, nie zaś polityka, a zawsze brak stanowczości i za daleko posunięta zasada „nieprzeszkadzania rządowi.“ *Do ut des*— takie powinno być hasło dla tych, którzy pragną pozytywnych rezultatów swoich usiłowań. Rząd tymczasem korzystał z tej chwiej-

ności Koła, dając przyrzeczenia, których nie dotrzymywał.

Najlepszym dowodem tego było zachowanie się jego wobec tylokrotnie poruszanej a staraniem całego kraju doprowadzonej do skutku sprawy gimnazyum w Cieszynie. Chodziło o rzecz małej wagi — o przyznanie prawa publiczności, tj. o to, że gimnazyum odpowiada wszystkim potrzebom szkół rządowych tego typu, a zatem uczniowie mogą używać przywilejów jednakich z przywilejami ich wychowańców. I nie przyznano tego prawa dotychczas, pomimo że je otrzymało czeskie i niemieckie gimnazyum w Ks. Cieszyńskiem, założone później. Posłowie nasi bawili się w grzeczności, zadawalali się obietnicami zdawkowemi — i przegrali sprawę. Jednemu z posłów szlązkich, dr. Michejdzie, dał minister oświaty, baron Gautsch, złośliwą odpowiedź. Naprzód obraził się, że deputacya udała się pierwej do prezydenta ministrów, niż do niego, a następnie oświadczył, że sprawa będzie załatwioną niezawodnie po myśli prezydenta, „gdyż on, a nie ja robi politykę.“ W krótkim czasie potem innemu posłowi, ks. Świeżemu, powiedział bez ogródki, że prawa publiczności w tym roku szkolnym już nie udzieli. Ta niesmaczna zabawka w politykę tam, gdzie chodzi o naukę, mająca wszelkie pozory intrygi w łonie gabinetu, jako uśmiech do Niemców, wykazała tylko, że pan baron nie umie być ani solidarnym, ani szczerym sojusznikiem.

W rocznikach historyi szkolnictwa tutejszego Gautsch nieosobliwie zapisał swoje imię; wszystko, co nosiło charakter wstecznictwa, wyszło z jego inicyatywy. On to, jeszcze za rządów hr. Taaffego, wydał słynne rozporządzenie, powstrzymujące napływ uczniów do gimnazyów. Nie zdołał wprawdzie powstrzymać prądu, ale rodzicom sprawił wiele zmartwień i przykrości. Próbą niemczenia gimnazyów czeskich przyczynił się do wywołania ruchu młodo-czeskiego, który do biegu spraw państwowych wprowadził rozterkę i nieład. Mówią, że teraz drogami zakulisowemi dąży do fotelu prezydenta. Trudno przypuszczać, ażeby tak niezręcznemu politykowi ster nawy państwowej powierzono.

Najdziwniejszem jest jednak położenie Koła polskiego, zarówno wobec rządu, który je zbyt wyraźnie lekceważy, jak i wobec Szlązka, który za wiele na nie liczył. Posłowie szląscy przekonali się o tem i ks. Świeży, sam człowiek bardzo niezdecydowany, powolny i ostrożny może do zbytku, wystąpił z Koła, spostrzegłszy, że nawet niedołęztwo ma swoje granice. Byłoby to dowodem wielkiego niedowierzania naszym przedstawicielom, a ze strony ks. Świeżego krokiem wielce niepolitycznym. Zamiast działać wspólnie z większą energią, cofnął się, ażeby działać w pojedynkę — bez skutku.

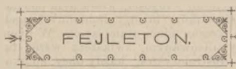
Lwowska rada miejska miała ciekawe i charakterystyczne posiedzenie. Wiadomo, że za pożyczone pieniądze budujemy teraz wspaniały teatr. Na co? Po co? Z pewnością sam Salomon nie znalazłby na to odpowiedzi. Lwowianie chodzą tylko do knajp i „tinglów,“ a nawet teraźniejsza buda teatralna pustkami świeci. Ale — mniejsza o to. Potrzeba było niektóre roboty oddać hurtowo. Dwie były oferty: polska budowniczego Nemekszy i niemiecka — spółki Prusaków. Za polskim budowniczym oświadczyła się większość rady, a za Prusakiem — p. Małachowski, prezydent miasta. Utrzymywał on, że wprawdzie p. Nemeksza wykonał bardzo pięknie roboty na wystawie, ale w ważnych sprawach nie trzeba unosić się *sentymentalizmem* i lepiej oddać Prusakom z tej racyi, że już niejedną wykonali. Jest to trzeźwość zupełnie w stylu galicyjskim. Polak kończy tę samą szkołę, co Niemiec i praktykuje tak samo, buduje tak samo, ale prawo jego do pracy we własnym kraju nazywa się *sentymentalizmem*. Na szczęście większość nie podzieliła przekonań swego przypadkowego prezydenta i przechyliła się na stronę Polaka.

Nie wiem, czy wszystkim tym, których przypadek sprowadzi do Lwowa, wiadomo, że jest to miasto, w którem tyfus zawsze panuje i nie może być inaczej w cuchnącej kotlinie rzeki Pełtwi, pozbawionej wody do picia. W dodatku i to się zdarza, że kanały i rury, doprowadzające wodę do cystern, sąsiadują zbyt blizko z kanałami, odprowadzającymi nieczystości. Brak wszelkiej kontroli sanitarnej, nie na papierze, ale w rzeczywistości, czyni Lwów jednem z najbardziej cuchnących i niezdrowych miast. Wszystko razem wzięte złożyło się na to, iż tyfus jest jego chorobą chroniczną. P. Małachowski wynalazł doskonały sposób obrony: zamiast wodociągów i kanalizacyi, każe pisać na tabliczce, którą przed studnią zawiesza: nie wolno brać wody. Pominąwszy bardzo nieprzyjemną okoliczność, że ci, którym tego nie wolno, nie umieją czytać, ale gdzie oni mają brać wodę do swego użytku?

Tak, tak — ludność Lwowa może sobie wymierać na tyfus, bo — będziemy mieli piękny teatr, do którego nikt chodzić nie będzie. Prawdziwie cywilizowane barbarzyństwo!

Protesty niemieckich profesorów (z Prus) w obronie uciśnionej niemczyzny w Austryi (istna bajka o wilku skrzywdzonym przez kozę!), wyzywające zachowanie się antisemitów wiedeńskich, opłakujących także pokrzywdzonego wilka, wreszcie cyniczna odmowa Gautscha, występującego w roli intryganta politycznego, rozbudziły trochę z drzemki apatyczne tutejsze społeczeństwo. Rada lwowska, niepodzielająca zbytniej a tak niesmacznej „trzeźwości“ swego prezydenta, uchwaliła dziesięć stypendyów dla gimnazyum w Cieszynie, krakowska uczyniła to samo, rozwinęła się znowu agitacya przeciw Niemcom w całym kraju na korzyść Szlązka. Tam zapanowało rozgoryczenie i wzmogła się świadomość potrzeby samoobrony. Najlepszym dowodem jest wiec ludu szlązkiego, zwołany na 1 sierpnia do Cieszyna w celu obmyślenia sposobów i środków walki z niemczyzną, a lwowskie *Słowo* wprost domaga się zaprowadzenia na Szlązku języka urzędowego polskiego. Ciekawą jest rzeczą, czy posłowie nasi wezmą udział w wiecu i w jakim charakterze wystąpią.

Cho.



PAMIĘTNIK.

Co robią miasteczka?

Pod tym tytułem *Kuryer Codzienny* zamieścił bardzo gruntowny i na dowodach urzędowych oparty artykuł o gospodarce miast mniejszych u nas. Jakkolwiek to na pozór brzmi dziwnie, zarządy ich trudnią się głównie, niemal wyłącznie—gromadzeniem kapitałów. Warunki zdrowotne, a raczej chorobowe, instytucye dobroczynne, wszystko, od czego zależy fizyczna, umysłowa i moralna pomyślność ludności, pozostaje na ostatnim planie, pierwszy zajmują oszczędności. Z tej dbałości powstają szczególne stosunki: miasteczko gnije w brudzie i błocie, nie ma czystej wody i całego dachu nad szkołą, ale posiada kapitały. Z wielu przykładów, przytoczonych przez *Kuryer*, wybierzemy parę.

Kapitał żelazny Błonia wynosi 333 rs., natomiast zapasowy 12,661. W r. 1896 wydano tam na „instytucye publiczne“ aż 363 rs., „i to jeszcze dlatego tak dużo, że otworzono ambulatoryum, które pochłonęło 200 rs.,“ inne przeto zakłady (szkoły itd.) otrzymały 163 rs. Budżet zaś porządków miejskich w tem mieście *powiatowem* dosięgnął 31 rs.!

Gostynin posiada kapitału zapasowego 77,257 rs., żelaznego 41,503, dochodu było w roku zeszłym 52,966 rs. Otóż z tej zamożnej kasy miejskiej wydano w r. 1896 na uporządkowanie miasta 142 rs., a na instytucye publiczne 1,406 rs. (z tego na świeżo otwarte ambulatoryum 1,130).

Chyba te cyfry dostatecznie tłomaczą, czemu w naszych miasteczkach nie rozwija się oświata, ale rozwijają się choroby, czemu one są chyba najokropniejszym w cywilizowanej Europie obrazem nędzy, ciemnoty i niechlujstwa.

Artykuł *Kuryera* powinienby zwrócić uwagę po za granicami kolumn dziennikarskich.

Atak na lekarzy.

Wyszła świeżo broszurka p. t. „Lekarze i publiczność,“ napisana przez Obserwatora, która stanowi nowy atak na twierdzę Eskulapa, dokonany z tej strony, z której już niejednokrotnie robiono w niej wyłomy. Autor bądź za pomocą przytoczeń z dzieł znakomitych doktorów, bądź za pomocą własnych spostrzeżeń i wywodów, usiłuje wykazać, że lekarze w swej wiedzy i sztuce są zupełnie bezsilni, że ta ich niemoc nie usprawiedliwia nadzwyczajnej zarozumiałości, że często powodują się własnym interesem, a nie dobrem chorego itd. Koniec książeczki, zdaniem naszem, najlepszy, przedstawia w obrazach z życia zdjętych powody zwycięztwa felczerów nad lekarzami prowincyonalnymi: pierwsi są troskliwsi, przystępniejsi, wyrozumialsi, tańsi, drudzy zaś lekceważą lud, odstręczają go obojętnością, pychą i zbyt wielkiemi wymaganiami. Autor wszakże nie zauważył, że całe jego rozumowanie osnute jest na dwu twierdzeniach zupełnie z sobą sprzecznych. Bo jeżeli słusznie mówią cytowani przez niego badacze, Hufeland: „Natura ludzka ma do zwalczenia dwóch wrogów — chorobę i lekarza,“ Wunderlich: „Doszliśmy z naszą terapią do tego, że wdzięczni powinniśmy być za każdą radę, czy ją nam udzieli stara baba, owczarz, czy konował,“ Niemayer: „Lekarz gorszym jest od choroby,“ Abernethy: „W miarę przyrostu lekarzy mnożą się także choroby“ — jeżeli to wszystko jest prawdą, w takim razie po co wogóle nakłaniać lekarzy do niesienia jakiejkolwiek pomocy chorym, a w szczególności po co rzucać im na pastwę lud i wypierać felczerów ze znachorami? Rozsnuwając logicznie powyższe zdania, należałoby tylko cieszyć się z tego, że lekarze odstręczają sobie publiczność.

Obok tej zasadniczej sprzeczności, zaznaczyć należy zbyt przesadzone żądania ofiary z ambicyi i godności medyków. Mogą oni być śmieszni, gdy pogardliwie wzruszają ramionami na Kneipów, Priesnitzów, a nawet prostych znachorów, ale nie należy dziwić się alleopatom, gdy nie chcą odbywać konsultacyi z homeopatami lub naodwrót. Bo konsultacya ma wtedy tylko sens i cel, gdy w niej uczestniczą ludzie stojący na jednakich stanowiskach naukowych, a jakież może być porozumienie między aleopatą i homeopatą? Byłaby to zaiste narada konia z wilkiem.

Różnice płci.

We *Wszechświecie* znajdujemy streszczenie bardzo ciekawej mowy znakomitego anatoma berlińskiego, Waldeyra, „o dru-

gorzędnych różnicach płciowych.“ Przedewszystkiem uderza różnica w długości ciała, objawiająca się już u noworodków, która w tym okresie śród ras małych jest bardzo drobna, śród wysokich (np. śród plemion brazylijskich) dochodzi do 10,5 cm., a u ludów europejskich do 1 cm. Ze wzrostem łączy się większa u mężczyzn szerokość ramion, długość i obwód rąk, nóg i tułowia. Tylko dolna jego część jest u kobiet dłuższa a biodra szersze. Również ciężar ciała męzkiego jest większy (u noworodków europejskich o 133 gr.). Całkowita muskulatura doroslej, silnie zbudowanej kobiety nie dosięga 1/3 ciężaru ciała, gdy tymczasem u dorosłego silnego mężczyzny przeciętnie wynosi 1/3. Wogóle rzec można, że ciało mężczyzny rozwija się w wyższym stopniu na maszynę roboczą, kobiece zaś przedstawia większe skupienie tkanki tłuszczowej. Mężczyzna ma udo dłuższe z mniejszym obwodem, kobieta zaś skutkiem szerszej miednicy ma uda w górze bardziej oddalone, w kolanach zbliżone, skutkiem tego przybierają położenie skośne i przeszkadzają w biegu, który zawsze u mężczyzn jest zręczniejszym. U kobiet palec wskazujący jest dłuższy od obrączkowego, u mężczyzn przeciwnie, przez co zbliżają się oni do murzynów i małp człekokształtnych. Czaszki niewieście są mniejsze w pojemności i obwodzie, nadto wypuklejsze w guzach czołowych i ciemieniowych; natomiast w męzkich, obok większych rozmiarów, silniej występują kostne łuki brwiowe, większa objętość zatok czołowych i wydatniejsze miejsca przyczepów mięśni. Co do mózgu, różnica w ciężarze (przeciętnie) wyraża się stosunkiem 1,372 g. u m. i 1,231 u k. O ile wszakże waga względna mózgu u obu płci nastręcza jeszcze pewne wątpliwości, o tyle jego ukształtowanie i rozwój dają przewagę mężczyznie, widoczną nawet u noworodków bliźniąt. W ostatnich czasach zauważono inną jeszcze osobliwość, mianowicie że mężczyzna posiada znacznie większą ilość czerwonych ciałek krwi (w jednakowej objętości), niż kobieta — ciałka zaś te dostarczają tkankom tlenu.

Nakonice jeszcze jedna różnica, która zapewnie najbardziej podoba się i przyda humorystom: kobieta przewyższa wielce mężczyznę muskulaturą... języka.

Zbyteczny niepokój.

Z dziwnem żądaniem wystąpił do publicystyki naszej „Patryota polski“ w broszurze p. t. „Poeta zdrady“ (Warszawa, w drukarni gubernialnej). W przedmowie do przekładu artykułu p. Franki, wymaga on, ażebyśmy zamiast wymysłów odparli dowodami „poważny“ zarzut, jakim obciążył naszego wieszcza ów pisarz, gdyż w przeciwnym razie każdy będzie mógł nam „rzucić w twarz obelgę: *stawiacie pomnik poecie zdrady*.“ Przeczytaliśmy po raz pierwszy dosłownie ten akt oskarżenia i wyznajemy, że nas w zdumienie wprawiła jego płytkość i bezzasadność. Dość powiedzieć, że dla udowodnienia, iż Mickiewicz przedstawiał „całe seryę zdrajców wszelkiego rodzaju,“ p. F. przytacza: „Żywilę,“ „Świteziankę,“ „Tukaja,“ „Renegata,“ „Grażynę,“ „Wallenroda,“ z dodatkiem, że nawet „dwa największe i najgenialniejsze utwory Mickiewicza „Pan Tadeusz“ i „Dziady“ niezupełnie są wolne od tej zarazy“ (zdrady). Jak tu podobne twierdzenia i dowody poważnie odeprzeć? Mickiewicz napisał około 160 większych i mniejszych utworów, gdyby więc sześć, albo nawet osiem przytoczonych mówiło o zdradzie, to gdzież liczbowa racya oskarżać poetę o jakieś szczególne apostolstwo zdrady? Nadto czy był na świecie opowiadacz życia ludzkiego, któryby pominął motyw zdrady mężczyzny względem kobiety, jak w „Świteziance?“ Według tej recepty podejmiemy się dowieść, że Shakespeare był poetą rozpusty, a Schiller — mordów. Nie możemy tu rozjaśniać wszystkich opiętnowanych przez p. F. utworów Mickiewicza. Ażeby wszakże „Patryota polski“ miał przybliżone wyobrażenie o fałszywości oskarżenia, sprawdzimy jeden punkt. „Głównym motywem „Dziadów“ — powiada p. F. — jest nieszczęśliwa miłość poety ku Maryi Wereszczance, przedstawiona tu jako *zdrada* dziewczyny względem młodziana (Gustaw), chociaż w rzeczywistości Marya nie zdradziła Mickiewicza.“ Przeczytajmy odnośny ustęp:

Gustaw

O zazdrości podła!

I jakież są jej grzechy?
Czyli mnie słówkiem dwuznacznem uwiodła?
Czy wabiącymi łowiła uśmiechy?
Albo kłamliwe układała lice?
I gdzież są jej przysięgi, jakie obietnice?
Miałemże od niej choć przez sen nadzieję?
Nie! Nie! Sam sam urojone żywiłem mamidła,
Sam przyprawiałem jady, od których szaleję!

To się nazywa „przedstawiać zdradę dziewczyny względem młodziana.“

Podobnych sprostowań możnaby uczynić więcej. Czy z taką niesumiennością, albo kłamstwem warto się rozprawiać poważnie?

Sam „Patryota polski“ nie mógł „pójść w zapasy z uczonym (!) sławistą i znawcą (!!) polskiej literatury,“ gdyż brak mu „niezbędnych ku temu studyów przygotowawczych.“ Nam się zdaje, że tu żadne studya przygotowawcze nie były potrzebne; wystarczyłoby prosto przeczytanie utworów Mickiewicza, ktore uwolniłoby szan. „Patryotę polskiego“ od niepokoju i wątpliwości, a nas od jego broszury.

BADANIA NAUKOWE.

INSTYTUCYA POBRATYMSTWA.

Społeczeństwo pierwotne, składające się z kilku, najwyżej zaś kilkunastu lub kilkudziesięciu tysięcy członków, stanowi odosobnioną, zamkniętą w sobie a zwartą całość, będącą zwykle na stopie wojennej z plemionami ościennemi. My, żyjący w wieku XIX, którzy bezkarnie podróżujemy po obcych krajach, w życiu codziennem miewamy często do czynienia z cudzoziemcami i pochłaniamy utwory literatury, sztuki i nauki, będące płodem usiłowań nie naszego własnego narodu, zatraciliśmy zupełnie poczucie tej wrogości, która była podstawą stosunków międzyplemiennych podczas okresów pierwotniejszych. W bycie niecywilizowanym, zwłaszcza wśród takich Australczyków, każdy obcy, spotkany w granicach terytoryum plemiennego, zostaje zamordowany. Nawet plemieniec, który bez przyzwolenia ogółu wprowadził kogoś obcego w granice szczepu, ulega często takiej samej karze. To odosobnienie przedstawia jedną z ważniejszych przyczyn, powstrzymujących wzrost kultury na niższych szczeblach uspołecznienia, bo każde ulepszenie, zamknięte w ciasnem gronie gminu plemiennego, z trudnością wydostawało się po za jego obszary. W oświetleniu zwyczajów wcześniejszych, po nad narodami doby dzisiejszej, istnieje atmosfera własności kolektywnej, międzyplemiennej, gdyż tem bezwarunkowo jest prawo nasze przebywania na obcem terytoryum.

Taka wrogość wzajemna trwa nietylko podczas dzikości. Barbarzyństwo osiadło, nawet takie, które zaczyna już posiadać organizacyę państwową, nie wyłamuje się jeszcze z pod władzy prastarych zwyczajów. Co więcej, zwęża ono poniekąd jeszcze szranki, w których jednostka może poruszać się swobodnie. Człowiek zostaje tam niekiedy związany granicami wioski lub szerszego podziału społecznego, odpowiadającego mniej więcej może naszemu opolu, którego natura pozostała tak niewyjaśniona. Wprawdzie nie zawsze śmierć czeka go po za obrębem swego terytoryum, bądź co bądź jednak wydalanie się takie było połączone z tylu niebezpieczeństwami, iż musiało być zdarzeniem rzadkiem. Następujący fakt da nam wyobrażenie o stanie rzeczy, istniejącym podówczas. Anglicy, przybywszy do wąwozów, zamieszkiwanych przez Nagów, za pomocą lunety ujrzeli, iż pochyłości gór były we wszystkich kierunkach pokryte siołami. Mieszkańców osady, w której zatrzymali się, zaczęli pytać o nazwy wiosek. Okazało się, że ci nawet nie wiedzieli o ich istnieniu! Dochodziło do tego, że Nagowie, zamieszkujący pewną dzielnicę wioski, nie znali innych, ponieważ pomiędzy częściami tego samego sioła istniała waśń wzajemna, podsycana przez zwyczaj zbiorowy — rodowy — zemsty krwawej. Podobne mniej więcej stosunki spotykamy i wśród innych barbarzyńców, prowadzących już osiadły tryb życia i zajmujących się rolnictwem.

Nienawiść rozdziela plemiona i, podczas barbarzyństwa osiadłego, rody tego samego plemienia na grupy, wzajemnie odosobnione. Taki stosunek nie może zniknąć, tylko pod naciskiem warunków przedmiotowych, zmuszających ludzi zbliżyć się do siebie i zawrzeć sojusz na przekór wrogości i nieprzyjaźni. Handel odegrał w tym rozwoju rolę niepoślednią. Zwłaszcza terytorya, położone w taki sposób, że na bardzo nieznacznej przestrzeni istniały płody naturalne, odmienne a pożyteczne, stały się wcześnie ogniskami wymiany i, co za tem idzie, zbliżenia wzajemnego ludów, podzielonych dotychczas subjektywizmem zawiści i wrogości. Wybrzeża morskie, obficie uposażone w zatoki i wysepki, szczególnie sprzyjały zadzierganiu takich węzłów. Istniały jeszcze i inne czynniki. Jak one działały i jak rozwijały się, dlaczego wywierały wpływ, to i inne pokrewne pytania, acz ciekawe, odłożymy na bok, zajmiemy się zaś tylko rozbiorem symbolów i środków zbliżania się ludów — zbliżania, które przedewszystkiem odbywało się przez jednostki.

Powodu do podjęcia tej kwestyi dostarczyła nam książka Stanisława Ciszewskiego, poświęcona pobratymstwu u Słowian południowych *). Rozprawka ta została napisana dla osiągnięcia tytułu doktora filozofii, lecz jest czemś więcej, niż zwykłą dysertacyą. Ciszewski włożył w studya swoje wiele lat pracy systematycznej. Książka, obecnie przezeń ogłoszona, stanowi w gruncie rzeczy tylko jeden rozdział pracy większej, która znowu ma być tylko wstępem do czegoś jeszcze obszerniejszego. Autorowi chodzi o wyśledzenie i zbadanie symbolów pobratymstwa, tj. sztucznego krewniactwa, w całej ich rozciągłości. Jako wzorowy kraj nie tylo może dla zebrania materyału, ile dla poznania psychologii obrządku, wybrał on Słowiańszczyznę południową.

„Prastara zasada: *homo homini lupus est* — pisze Ciszewski — znajduje jeszcze dzisiaj wielokrotne stosowanie pomiędzy pojedynczemi osobami i społeczeństwami Europy zachodniej. Musi być ona jedynem wyjaśnieniem stosunku, w jakim stoją do siebie jednostki, grupy i plemiona pierwotne, tylko luźnie związane nawzajem. Cudzoziemiec, „niemy,“ jak go zowią Bakajrowie, jest pozbawiony wszelkich praw nietylko w obcem plemieniu, ale także śród obcej rodziny. W zakresie stosunków wzajemnych po-

*) *Künstliche Verwandtschaft bei den Südslaven.* Lipsk.

między ludźmi, zasada ta, jeśli nie miała sprowadzić zaniku rodu ludzkiego, musiała, jako przeciwwagę, powołać do życia cały szereg symbolów i urządzeń prawno-społecznych, na mocy których obcy zdołałby się zbliżyć i zawrzeć mniej lub więcej ścisły związek z przedstawicielem pewnej rodziny, to znowu z całą rodziną lub szczepem i za pomocą takiego spoidła pozyskać prawa, których dotychczas nie posiadał."

Symbole te są rodzajem sakramentu prawno-politycznego, wprowadzającego kogoś do plemienia lub wiążącego go z kimś węzłem przyjaźni. Jak wszelki obrzęd, posiadały one w okresie początkowym charakter mocno rzeczowy i były tylko odtworzeniem tego, co istniało w życiu codziennem. W skład plemienia wchodzili tylko ci, którzy urodzili się z kobiety, należącej do niego i ssali jej piersi, więź społeczna bowiem polegała na spójni krwi i trzymała się wspólnem pochodzeniem. Przybysz, którego usynowiono, miał dostawać się do plemienia drogą analogiczną, sam zaś obrządek przyjęcia odtwarzał i naśladował czynności organizmu, po przez które należący do danej grupy przechodzili, tj. adoptowanie posługiwało się symbolami porodu, ssania itd. W ten sposób przyjęty stawał na jednym poziomie z resztą plemienia lub rodziny. W żyłach członków tej samej grupy rodowej płynęła krew wspólnej prababki, u jednych w ilości większej, u innych—mniejszej, odpowiednio do odległości wzajomnej od pnia rodowego. Gdy więc zawierano z kimś związek ściślejszy, starano się przelać część krwi swojej w jego organizm, jego zaś w swój. Stwarzano sztucznym sposobem pozorną jedność krwi, tj. stosunek opierano na tej samej podstawie rzeczowej, na jakiej spoczywało pokrewieństwo faktyczne. Plemieńcy, względnie rodowcy, hołdowali zasadzie komunizmu spożycia, przyczem niejednokrotnie nietylko zapasy były wspólne, ale i samo spożywanie pokarmu odbywało się gromadnie. Odpowiednio do tego, wspólne jedzenie, picie, palenie fajki uchodziły w umyśle pierwotnym za czyny, obowiązujące uczestników do pewnej solidarności wzajemnej. Słowem, symbol, mający zbliżyć ludzi, odtwarzał zawsze te stosunki rzeczowe, za pomocą których stanowiący jedną gromadę społeczną przez samą przyrodę byli połączeni w zwartą całość. Cudzoziemiec, poddawszy się obrządkowi, tem samem jakby w skróceniu odtwarzał warunki i przejścia, nałożone na wspólność plemienną przez naturalny stan rzeczy. Jeżeli tego nie dokonał, traktowano go jako wroga i obcego. Ciszewski podaje, że w dawnych czasach Bułgarowie mogli zamieszkiwać Konstantynopol, tylko zawarłszy takie wyraźne pobratymstwo z kimś z pośród Turków.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, donioslość symbolów i sakramentów wzajemnego zbliżenia się była bardzo niejednakowa: naśladowanie porodu wprowadzało kogoś do rodu na stałe, wymiana krwi robiła dwie osoby, uczestniczące w pewnym akcie, krewnymi sztucznymi, wspólne spożycie czegoś wiązało je na czas krótszy. W każdym razie charakter rzeczowy, nieokrzesany, przeważa w okresie pierwotnym, i dopiero w epoce późniejszej doznaje uduchowienia, tak dalece, iż wątek zasadniczy zanika powoli, pozostają tylko dodatki.

Odbiegliśmy od pracy Ciszewskiego, bo dla zrozumienia jej treści trzeba było przedstawić tło ogólne, na którem wyrosły zwyczaje Słowian południowych. Charakter *Prawdy* nie pozwala zapuszczać się nam ani w ocenę drobiazgową książki, ani w rozpatrzenie zwyczajów. Poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu rysów ciekawszych, rzucających światło na logikę społeczeństwa pierwotnego.

Zaznaczyliśmy, iż w pewnym okresie tylko ludzie, związani wspólnością pochodzenia, są obowiązani do pomocy wzajemnej i solidarności, wszyscy zaś inni, stojący po za grupą krewniaków, uchodzą za obcych, za wrogów, względem których stosowaną bywa w całej rozciągłości zasada: człowiek dla człowieka jest wilkiem. Jeśli ktoś opuszcza rodzinny zakątek i wchodzi w nowe otoczenie, a nie chce wszystkich mieć przeciw sobie, jeśli ktoś jest bez rodziny lub wreszcie znajduje się w takich okolicznościach, iż potrzebuje czyjejś pomocy i rękojmi solidarności, we wszystkich tych wypadkach za czasów barbarzyństwa był zmuszony zapewnić sobie druha i wzmocnić sojusz zawarciem sztucznego pokrewieństwa. Pobratymstwo stwarzało dokoła niego szaniec opiekuńczy. Rzecz bardzo ciekawa, iż powstawało ono nietylko wtedy, gdy obie strony świadomie i z dobrej woli postanawiały go zawrzeć, ale i w tym razie, kiedy ktoś znalazł się w niebezpieczeństwie i otrzymał pomoc niespodziewaną. Czarnogórzec, będąc w położeniu niebezpiecznem, do osoby, którą ujrzy wtedy, woła: „w imię Boga i św. Jana, pomóż mi, biorę ciebie za brata!" Zwykle w ten sposób słabszy zwraca się do silniejszego, który może odmówić wpradzie ofiarowywanego zaszczytu, ale naówczas błagający, po uratowaniu swojem, może zabić go jak psa, nie ściągając na głowę swoją grzechu. Opryszek, ścigany lub zbłąkany, zwraca się w taki sam sposób do kobiety spotkanej, prosząc ją o wskazówki, oboje zaś uważają odtąd siebie za rodzeństwo. Dziewczyna, zagrożona utratą dziewictwa, szuka ratunku w podobnem zaklęciu, pewna, że nic złego jej nie stanie się, jeśli przyjmą braterstwo.

To pobratymstwo z potrzeby odkrywa nam naturę sojuszu, dokonywanego przez obie strony z dobrej woli, trwalszego i popartego obfitszymi symbolami. Co w przykładach powyższych było dziełem przypadku i naglącej konieczności, tam bywa wynikiem namysłu i uczucia lub trwałego interesu. Przyczem sztuczne pokrewieństwo, tj. pobratymstwo, zawierają nietylko mężczyźni z mężczyznami i kobiety z kobietami, ale także mężczyzna z kobietą. Węzły, powstające w taki sztuczny sposób, uchodzą za tak realne i silne, iż osoby, które je zawarły, biorą na siebie obowiązki istotnych krewnych: mężczyzna nie może poślubić kobiety, której stał się bratem. Lud uważałby takie małżeństwo za stosunek kazirodczy. Mężczyźni-pobratymcy patrzą na swój sojusz jako na związek głębszy, niż braterstwo z urodzenia, bronią nawzajem osób swoich, honoru i własności, noszą po sobie żałobę, opiekują się wdową i sierotami, jeśli jeden zszedł ze świata i pozostawił rodzinę, dziedziczą po sobie niektóre sprzęty (oręż) i nawet cały majątek, gdy umierający nie pozostawił uprawnionych spadkobierców. „Sztuczne pokrewieństwo — pisze Ciszewski — uchodzi wśród ludu w Słowiańszczyźnie południowej jeszcze dzisiaj za stopień taki sam, jak pomiędzy rodzeństwem, niekiedy zaś za bliższy jeszcze." Naturalnie, instytucya ta rozkłada się, ale w każdym razie ma jeszcze tyle mocy i żywotności, iż pozwala badaczowi wyrobić sobie pojęcie o tem, czem była w przeszłości.

Dziwne wrażenie pozostawia po sobie rozczytywanie się w książce Ciszewskiego. Węzły pokrewieństwa są dzisiaj tak nadwyrężone i osłabione przez życie, symbole zamieniły się na kłamstwo konwencyonalne, wyzysk wzajemny i obojętność tak rozpostarły się, iż obrazy, zapożyczone od Słowian południowych i właściwe okresowi barbarzyńskiemu, uchodzą wprost za nieprawdopodobne. Istota ludzka wygląda tak odmiennie i, dodajmy, tak sympatycznie w tem otoczeniu uroczystego zawierania pobratymstwa, wzmacnianego krwią, w tej atmosferze zbliżania się obu płci bez myśli o stosunku płciowym i zaprzysięgania sobie braterstwa i siostrzeństwa wzajemnego, wykluczającego wszelką możliwość obcowania małżeńskiego, wreszcie wśród wzorów wyciągania do kogoś ręki podczas niebezpieczeństwa i wiązania go narzucaniem pobratymstwa. Ludzie występują tam z obliczem zindywidualizowanem, silni namiętnościami, okrutni może i krwiożerczy, ale zarazem zdolni do poświęceń, podatni uczuciom braterstwa, gotowi wyrzec się chuci. Tym, którzy zapatrzywszy się w widnokręgi życia dzisiejszego, mniemają, iż człowiek zawsze był sobkiem lub zwierzęciem lubieżnem, radziłbym przestudyować zwyczaje barbarzyńców.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

W poniedziałek zmarł w Krakowie

Adam Asnyk.

Dziś wyrażamy tylko nad grobem wielkiego poety polskiego głęboki żal za tym, który odszedł z życia, o tym zaś, który pozostał w literaturze, pomówimy obszerniej.

LITERATURA ANGIELSKA.

Rudgard Kipling *).

Walczyć wytrwale o miejsce pod słońcem, trzymając się ściśle kodeksu „gentelmana," być lojalnym z przyjaciołmi, nieubłaganym dla nieprzyjaciół, fałszywym dla kobiet—taki jest kodeks każdego Anglika indywidualisty. Takim jest kodeks Kiplinga.

Głównem zadaniem człowieka jest, według niego, działać, bić się, kochać, nie myśląc o duszy, nauce lub sztuce. Z pośród kwiatów namiętności nie zbiera on tych, co są przewrotne, skomplikowane i próżne. On marzy wprost o zapładnianiu jak największej liczby złotowłosych anglo-saksońskich olbrzymek, aby wydać rasę zwycięzców, któraby w dalszym ciągu podbijała glob ziemski. A jego kobiety to młode klacze, które rżąc, biegną na łąkę ku oczekującym je tam centaurom. Jest coś wzruszającego w tem lgnięciu kobiet do żołnierzy i wojowników. Ta śmierć zabijająca słabych jest siostrą miłości, tworzącej silnych. W Kiplingu niema nic z Werthera, zapłakanego marzyciela, zapatrzonego w jedyny swój ideał: jego serce jest raczej Olimpem rzymskim, trzeba mu wielu bogiń, aby wyczerpać pragnienia, zwrócone ku nieskończoności. On żyje, a nie ziewa nad życiem. I dlatego utwory jego miały tak wielkie powodzenie. Pośród zalewu miernoty i naśladownictwa to natężenie młodego życia jest rozkoszne. Nie ma on żadnej pretensyi do tego, aby być czarującym: jest nadto śmiałym, pogardliwym, szyderczym i cynicznym. Jak Loti, zawdzięcza wszystko życiu bezpośredniemu, a nie literaturze, tylko że on nie posiada delikatnego impresyonizmu, chorobliwego i wytwornego, lecz wrażliwość zdrową, fantazyę silną aż do brutalności. Swą energią i imaginacyą przypomina tych zbójów anglo-saksoń-

*) Plain tales from the Hills.—Many Inventions.—The light that failed. — The Second Jangle Book. — The Seven Seas.

skich, którzy rabowali, mordowali, siali postrach, ale zarazem byli przedmiotem uwielbiania podbitych gromad. Rozpusta oddalonych przodków bije jeszcze łuną w dziełach ich potomków. Właściwie mówiąc, cała sztuka jest sprawą dziedziczności: tak wulkan po gwałtownych wybuchach rzuca jeszcze ognie, przyćmione dymem i rozżarzoną lawę, przykrytą popiołem. Stąd ta energiczna śmiałość Kiplinga, ta zdolność trzymania w napięciu uwagi czytelnika, którą pobudza wciąż nowemi przygodami. Jest to natura niesłychanie czynna, nazbyt przeniknięta znaczeniem faktów i nieznacznością rozmyślań, aby zastanawiać się dłużej nad swemi wrażeniami. Najchętniej przebywa śród istot prostych — np. w świecie koszar, gdzie wszystko opiera się na sile pięści, gdzie wszystko jest brutalne, bez wychowania, ale heroiczne. Jest on śpiewakiem prostego żołnierza, kocha go i szanuje, dlatego, iż działa a nie myśli, cierpi i nie skarży się. Jego bohaterowie spędzają czas na biciu się, na podbijaniu miast i serc kobiecych, na paleniu fajek i piciu okowity. Żyją bez troski, ale są pełni wspaniałomyślności. Nie mają ani inteligencyi, ani dobrych obyczajów, są próżni i leniwi, ale za to nienaruszony dobry humor, dowcip i prostota zyskują im sympatyę czytelnika pomimo całej ich trywialności.

Z drugiej strony Kipling zapoznał świat cywilizowany z Wschodem, z Indyami, które pozostały zupełnie barbarzyńskie i pierwotne. Przypomniał tych czarnych monarchów Azyi, którzy każą potrząsać na pikach krwawe głowy buntowników, podczas gdy obnażone kobiety tańczą na błyszczącym marmurze wysokich sal, śród szmeru jęczących wodotrysków. Królestwem literackiem Kiplinga są Indye: w sposób niezmordowany objawia nam wciąż ich bogactwa ukryte i tajemnicze piękno.

Ale te wielkie zalety okupione są niesłychaną impertynencyą: wszystko, co jest po za koszarami i po za Indyami, dla Kiplinga nie istnieje. Jego nieznośnej arogancyi towarzyszy zupełny brak smaku i miary, treść i forma jego utworów nie zawierają ani cienia delikatności lub świadomego artyzmu. On spogląda na świat z miną zwycięzcy. Z początku wybaczono mu to, gdyż przypominał raczej młodego uczniaka, który z rękami w kieszeniach i czapką na bakier idzie sobie, pogwizdując, wprost przed siebie, bez obawy, bez namysłu, gdyż myśl jego niewiedzy ani na chwilę go nie powstrzymuje. A zresztą w tem właśnie znajdowało się być może źródło jego powodzenia: gdyby miał więcej nauki i sztuki, bardziejby się wahał, nie miałby tej pewności spojrzenia i nicobyłby życia z tą młodzieńczą śmiałością, nie dałby tych wspaniałych obrazów walk i rozbojów, pijaństwa i dzikiej miłości.

Z czasem jednak przebrał miarę i wówczas rozpoczęła się reakcya: jego zuchwałość stała się pewnością najgorszego tonu, jego styl stawał się coraz bardziej zaniedbanym, śród czytelniczek tracił coraz bardziej sympatye, gdyż czuć w nim ten suchy i krótki głos pana, który nie chce zmiękczyć się, mówiąc z niewolnicą. Zresztą Kipling nigdy kobiet nie rozumiał, ich szczególnej logiki i skomplikowanych czarów. Nie pisze dla nich, nie chce im się podobać. Kobieta jest dlań tryumfem materyi nad inteligencyą, a mężczyzna tryumfem inteligencyi nad dobrymi obyczajami.

Wszystko to miało zwykle swe skutki. Zawiść wysunęła swe żądło i zaczęła go kąsać. Dla jednych jest to bardzo dobry bodziec, który pcha wciąż naprzód, innych przestrasza i wpędza w melancholię. Dla Kiplinga miała ona, niestety, ten ostatni skutek. Coś w niem się tam nadwyrężyło, niema już w ostatnich jego pismach tej spokojnej i pogodnej równowagi i pewności siebie, lecz dużo goryczy i mizantropii. Sądzą niektórzy, że niema dla człowieka talentu nic lepszego, niż czuć za sobą kilka zajadłych piesków, które pienią się ze złości, ujadają bez końca, zwłaszcza iż mechanika tych napaści jest arcyznana. Zawistnik przechodzi zwykle przez trzy fazy: 1) naprzód czuje niezadowolenie z powodzenia, które widzi i z którego nie może skorzystać; 2) okazuje chłód i oddalenie szczęśliwemu współzawodnikowi, jakby chciał postawić między sobą a nim barycrę nie do przekroczenia; 3) zawistnik póty przeżuwa swój wstręt aż on wreszcie zamienia się na nienawiść. Ta ostatnia, z początku milcząca, zawsze kończy się tem, iż wybucha potokiem złorzeczeń, posądzeń i oszczerstw, które się tyczą już nietylko pism, ale i osoby współzawodnika.

Proces ten powtarza się z mechaniczną regularnością wobec każdej nowej siły, która występuje w literaturze, i ileż takich sił już złamał! Kiplinga jeszcze nie złamał, ale już nadwyrężył: nuta melancholii i mizantropii coraz częściej i zgrzytliwiej dźwięczy w jego pismach. Uciekając przed ludźmi, przeniósł swe sympatye na naturę, zwłaszcza na zwierzęta, istoty mające instynkty, a z nałogów tylko te, które otrzymały od człowieka.

Być może, iż w dzieciństwie miał już zarodki tej melancholii, jak to sądzić można z jego noweli „Black Sheep,“ noszącej charakter czysto autobiograficzny, gdzie opowiada o młodym chłopczyku wychowanym u obcych, którzy złem traktowaniem budzą w nim złość, skrytość, nałóg kłamstwa.

Może i późniejsze życie nie było dlań tak rozkosznem, jakby to z pozorów sądzić było można. W noweli p. t. „Without benefit of Clergy“ daje nam historyę miłości zdala od świata i jego konwenansów. Jest to rozkoszna sielanka, przerwana barbarzyństwem cholery, która porywa matkę i dziecko, pogrążając ojca w najgłębszej rozpaczy. Holden zwraca się, na ruinach swego szczęścia, do tajemniczej potęgi, która mu wszystko zabrała z energicznym okrzykiem: „O bydlę! podłe bydlę!“

Bohaterowie Kiplinga z ostatnich czasów uciekają od ludzi do zwierząt. Oto np. P. Bhaget, były gubernator jednej z prowincyj indyjskich, który staje się pustelnikiem, osiadłszy w opuszczonej kaplicy. Zwierzęta nie omieszkały oddać mu wizyty. Langury, wielkie małpy Himalajów, o siwych wąsach, były naturalnie pierwsze w tym względzie, gdyż są ciekawsze od kobiet. Wieczorem schodziły z drzew i wyciągały rękę do pustelnika, siadając potem przy ognisku. Nieraz dniami całymi jedna z nich pozostawała przy starcu, spoglądając dokoła na szczyty śnieżne, wzrokiem poważnym i pogodnym, jak przystało na filozofa. Po małpach przyszedł jeleń, któremu pustelnik oczyszcza rogi z narostów, potem bojaźliwa sarna, ostrożnie nadstawiwszy szerokich uszu i wąchając powietrze ostrą mordką. Nareszcie czarny niedźwiedź Himalajów, opryskliwy i podejrzliwy, przychodził codziennie po pieszczoty, chleb i wiśnie. Pewnej nocy była straszna burza, Bhagat spał, ale naraz poczuł lekkie tarcie o kołdrę. Macając w tym kierunku, napotkał drobną łapę langura. „Tu jest lepiej, niż w lesie — rzekł głosem zaspanym — kładź się tu i ogrzej“ — dodał, podnosząc kołdrę. Zwierzę schwyciło go jednak za rękę i pociągnęło z całą siłą. „A więc chcesz jeść? Poczekaj, przyszykuję ci cokolwiek.“ I nachylił się, aby rzucić drzewa na ogień, ale langur skoczył do drzwi, jęknął i wrócił do człowieka. „Co ci jest, drobny bracie?“ — pytał Bhagat, gdyż oczy małpy były pełne rzeczy, których nie umiała wyrazić. Nareszcie jeleń stuknął w drzwi rogiem, a gdy pustelnik wyszedł, zobaczył, iż sąsiednia skała grozi zawaleniem się. Zwierzęta przyszły go ostrzedz i ocalić.

A oto inna opowieść w tymże guście. Dzieje się to na plantacyach, gdzie słonie karczują pnie. Najpiękniejszy z nich należał do najgorszego z poganiaczów, pijaka, zawadyaki. Słoń nazywał się Moti-Guy, poganiacz — Deessa. Upiwszy się, Dessa bił zwykle Moti-Guya w sposób barbarzyński i jeżeli nie był za to rozszarpany, to dlatego, że słoń wiedział, iż pan jego, gdy wytrzeźwieje, obejmować go będzie z płaczem, nazywając swą miłością, życiem, krwią, duszą i że da mu okowity: otóż Moti-Guy lubił alkohol, zwłaszcza arak, ale, w braku czego innego, znosił i okowitę palmową. Po pracy, wieczorami, popijali sobie zwykle po kilka kwaterek, ale pewnego dnia Deessa poczuł gorącą chęć upicia się na zabój. Trzeba mu było orgii zupełnej, gdyż te drobne wypitki już go tylko nudziły. Zdobywszy pozwolenie od plantatora: „Odjeżdżam!“ — zawołał do słonia. Oczy Moti-Guya błysnęły. Lubiał on tyleż, co i pan jego, te błędne podróże. Można było wówczas nabrać na prawo i na lewo drogi całą kupę rzeczy dobrych. „Ale ty, bandyto, nikczemniku, zostaniesz tu przy pracy.“ Wzrok Moti-Guya się zaćmił; dowiedziawszy się od Deessy, iż ten wyjeżdża na dni dziesięć, otoczył go trąbą i wzniósł dwukrotnie w powietrze. W ten sposób żegnali się z sobą zwykle.

Był bardzo dobrze traktowany przez nowego poganiacza i jego rodzinę, pomimo to czuł się jednak nieszczęśliwym. Motti-Guy miał naturę starego kawalera, życie rodzinne wcale go nie wabiło, tęsknił za swym panem i pijatyką. Tymczasem Deessa, pobłąkawszy się po drogach, napotkał orszak weselny z własnej swej kasty i tańce, rozrywki, orgie kazały mu zupełnie stracić pojęcie o czasie ubiegłym. Nastąpił dzień jedenasty, a Deessy niema. Moti-Guy, który dotychczas pracował nader przykładnie, teraz odmówił posłuszeństwa. Nie pomogły żadne nawoływania i groźby. Gryząc gałąź, jako wykałaczkę, chodził sobie po plantacyach, ironicznie spoglądając na towarzyszów, którzy zabrali się do pracy. Uderzał ich po ramieniu, jakby zapytując, czy przyjemnie jest wyrywać korzenie i do zachodu słońca nie przestał siać demoralizacyi. Następnie powrócił do domu na wieczerzę. „Kto nie chce pracować, nie powinien jeść“ — zawołał rozgniewany poganiacz. Moti-Guy ujął dzieciaka, który tuż się znajdował i wzniósł w powietrze. „Wielki Boże — zawołał Chichun — dam ci dwanaście placków z białej mąki, maczanych w araku i dwieście funtów trzciny cukrowej, świeżo ściętej, jeżeli położysz na ziemi synka mego nietkniętym.“ Moti-Guy ostrożnie umieścił dziecko między przedniemi łapami i dopiero zjadłszy obiecane smakołyki, zwrócił go ojcu. Tego rodzaju przygody trwają aż do powrotu Deessy. Obaj przyjaciele rozpłakali się, rzuciwszy się sobie w objęcia i poszli do pracy.

Życiu zwierząt poświęcone są dwa ostatnie tomy autora, który przedstawia nam tu mieszkańców wielkich lasów Indyj. Są to pantera Baghava, wilczysko Mowgli, żmija Kaa, niedźwiedź Baboo. Jako istotny poeta, Kipling potrafił odczuć i odszukać wszystkie węzły pokrewieństwa, które łączą nas ze zwierzętami i w tej ich duszy pierwotnej wykazać zarodki wszystkich uczuć ludzkich. Każdy zwierz ma swą własną fizyognomię, może trochę nazbyt zantropomorfizowaną — autor traktuje ich na stopie zupełnie równej z sobą i ludźmi. Mizantropia Kiplinga znajduje tu częste upusty, np. w przepysznej rozmowie pomiędzy sępem, szakalem i krokodylem, który przypomina piękne dni rzezi Cipayów w roku

1857, gdy rzeki płynęły trupami i krwią, sam zaś on był tłusty i zadowolony.

Ten zwrot w nastroju autora poniekąd był mu nadzwyczaj pożyteczny, uwalniając go od tonu rubasznego i poufałego, którym odznaczały się pierwsze jego pisma. Melancholia jest najdoskonalszą nauczycielką dystynkcyi i piękna. Nawet styl Kiplinga, dawniej zaniedbany, staje się tu często wytwornym. Zresztą nie w stylu należy szukać zalet tego autora: jest on jednym z istotnych talentów twórczych naszego czasu. Jest to jednak przeważnie talent nowelisty. Większe rzeczy *) nie dotrzymują zwykle placu drobnym jego powiastkom. Oprócz nowel pisuje i poezye — śpiewki i ballady ludowe: są one proste i szczere, pełne melodyi naturalnej, werwy i ognia.

Dr. L. W.

*) The Naulahka.

POKŁOSIE POETYCZNE.

II

Co uczynił dla poezyi polskiej p. Jerzy Żuławski? Przedewszystkiem wynalazł „Kaskady.“ Jest to „pieśń w trzy spadki złamana,“ tj. składająca się z trzech strofek, z których pierwsza „taktem zmieszanym tajemnice, wydarte głębiom, opowiada lub płacze, jakby sylfów ród, kropli siostrzanej jednej żałujący,“ druga „szumi pieśnią z wichrowych wyśpiewaną nut“ i „z hukiem spada zwalonych burzą kłód,“ trzecia

„już się nie skarży, lecz do snu się składa,
„Jak smutna ścięta tchem zimowym w lód,
Kaskada.“

Takich „kaskad“ w zbiorku „Intermezzo“ jest dziewięć; ale okazuje się, że w praktyce przedstawiają się daleko mniej ponętnie, aniżeli w teoryi. Tam ani pierwsza strofka nie „opowiada tajemnic, wydartych głębiom wód,“ ani druga nie „szumi pieśnią, z wichrowych wyśpiewaną nut,“ a trzecia nie tyle sama do „snu się składa,“ o ile pobudza doń czytelnika. Mniejsza, że forma jest niefortunna, o rozleniwiałej rytmice, bez naturalności w budowie — nie o to mi idzie, bo gdyby p. Żuł. wynalazł formę stokroć piękniejszą od oktaw, tercyn itd., to także duma jego miałaby w sobie coś z dumy modniarki, która „stworzyła“ nowy fason sukni. Chciałem tylko zaznaczyć fakt dość charakterystyczny, a mianowicie: jakie pomiędzy innemi troski zaprzątają dzisiejszych poetów. Rzecz prosta, że talent dusi się w tym dobrowolnie narzuconym sobie „kaskadowym chomącie,“ a myśl, rozpięta na krosnach monotonnych wierszy i rozciągnięta siłą na jednakowych rymach, staje się tak mglistą, jak ten pył wodny, o którym mówi trzecia strofka. A szkoda, bo sam poeta twierdzi: „Myśl jest wszystkiem w wszechświecie i myśl jedna stwarza... Kiedy myśl ta świadomie wieńcem słów się „*winie*“; jak Bóg stwarza... i głoski bytu rozsnute w jedną pieśń układa.“ To też wszystkie prawie utwory p. Żuławskiego cechują piękną myślą, ale rzadko gdzie potrafi ona przełamać trudności wysłowienia. Zawiele liczy autor na własne siły i zbyt ciężkich podejmuje się tematów. Wykonać takie dzieło, jak zamierzony przezeń cykl poemacików p. t. „Prorocy,“ z których każdy ma w poetycznej formie streszczać filozoficzną działalność i odbijać duchową fizyognomię jednego z wielkich myślicieli świata (Ksenofanes, Spinoza), to zadanie, wymagające głębokiego umysłu i potężnego natchnienia, a stanowczo przewyższające miarę talentu p. Żuławskiego. W każdym razie w dzisiejszych czasach krótkooddechowej twórczości poetycznej, produkującej przeważnie filigranowe cacka i kunsztowne zabawki, taka praca wzbudza poprostu coś w rodzaju szacunku i podziwu. Pomimo że w całym zbiorku niema może ani jednego utworu, któryby można było nazwać bezwzględnie dobrym, sprawiają one wyjątkowe śród innych a odrębnie sympatyczne wrażenie, bo buja w nich jakiś zdrowy powiew młodej siły, świadomej siebie i otaczającego ją świata. Jeżeli dodam jeszcze, że w całym tomiku niema ani śladu tego dziecinnego kwilenia nad samym sobą, które Goethe nazwał „poezyą szpitala,“ ani strojenia się w ponure fałdy modnego płaszcza pesymizmu, jeżeli powiem, że erotyka zajmuje zaledwie kilka i to bardzo świeżych i miłych kartek, to otrzymamy w sumie jakąś dziwną postać, po której wiele spodziewać się można. Najsłabszą stronę tego talentu stanowią opisy. Bo też wogóle nie pojmuję poezyi opisowej, jako oddzielnego rodzaju twórczości; może ona istnieć tylko w cząstkach, w szczegółach: artysta nie kopiuje obrazu z natury, ale go lepi z własnych wrażeń, i wtenczas tylko obraz drga życiem. Wszystko zależy od chwili i od nastroju — ta sama burza może się wydać poecie wspaniałem zjawiskiem przyrody, drugi raz potworną niszczycielką ludzkiego dobytku. Ujrzawszy Krym i porównawszy go z opisem Mickiewicza, można nie znaleźć żadnego podobieństwa, a pomimo to opis pozostanie arcydziełem; tymczasem obrazy p. Żuławskiego mogą być bardzo wierne i dokładne, ale w najlepszym już razie nie będą niczem innem, jak martwą fotografią.

Pierwsza piosenka p. Klemensiewicza „wyleciała z głębi jego serca w tak przecudne strojna szaty, że jej pewnie tego stroju zazdrościły wszystkie kwiaty.“ Poeta powiada skromnie, że to była „pieśń nad pieśniami“ i że „miała tyle blasku, tyle miłej, świeżej woni... że słuchali jej piewcy leśni w zachwyceniu i w *ciszości*.“ Wielka szkoda, że p. Klemensiewicz nie dołączył owej „pieśni nad pieśniami“ do swojego zbiorku: prawdopodobnie i my, chociaż nie jesteśmy piewcami leśnymi, słuchalibyśmy jej również „w zachwyceniu i w *cichości*.“ Zapomniałem dodać, że to była, naturalnie, „pieśń miłości.“ Wprawdzie utrzymuje autor nieco dalej, że „słów by mu zbrakło i głosu nie stało, gdyby wyśpiewać chciał tę miłość całą,“ wprawdzie zarzeka się, że nie będzie kreślił nawet „miłości poczęcia,“ bądź co bądź sporą cząstką jej nas uraczył. Pragnąłbym bardzo podzielić się z czytelnikami pewnemi wiadomościami co do przedmiotu miłości poety, ale zdołałem uszczknąć z kwiatków erotycznych całego tomiku zaledwie trochę danych pozytywnych. Wiem tylko, że ona jest „aniołem złotym“ i że ma zarazem „krągłe ramiona“ oraz „piersi śnieżne i lubieżne,“ z których on, tj. p. Klemensiewicz, pragnął ustami „pić rozkosz,“ wiemy, że jest „słodka,“ a zarazem „zdradna,“ miła, a zarazem „pusta,“ że między młodymi często wybucha zarzewie sprzeczki, ale ponieważ niema takiego złego, któreby na dobre nie wyszło, więc i tutaj, jeżeli „zacznie białe czoło chmurzyć, to dlatego tylko pewnie, by pieszczoty znów powtórzyć.“ Pieszczoty zaś te są tego rodzaju, że ona na pierś poety „skromnie chyli białe skronie,“ a on całuje ją w „same usta i zmrużone oczy,“ czasami nawet „dziesięć razy.“ Daleko poważniejsze są skutki takich pieszczot, bo poprzwsze „każdy pocałunek podwajał ich szacunek,“ a powtóre dowiadujemy się, że z niego także figlarz nielada, bo „często udaje, że się gniewa i że jej słodkich słów nie słyszy,“ ale potem daje się przebłagać i... „na zabój wiersze pisze.“

Ale nietylko złotowłosej bogini miłości składa p. Klemensiewicz ofiary w kościele twórczości swojej: jego „duch *tak bardzo jest miłujący*“ ten boski czar przestworzy,“ że „wpada w głębokie zamyślenie nad rozwiązaniem odwiecznych tajemnic,“ a chociaż tajemnic tych nie rozwiązuje, jednakże czasem robi wcale nowe spostrzeżenia z dziedziny naturalistyki i moralności. Tak np. kiedy zdarzyło się raz poecie zasnąć w lesie zrana, a obudzić się nad wieczorem, to, ocknąwszy się, robi bardzo trafną uwagę:

Jakżeż dziwna zaszła zmiana —
Las z wieczora i las zrana.

W innem miejscu opowiada, że wszystko się składa z drobnych „atomów,“ jeszcze gdzieindziej uczy, że od „sił tajemnych wszechświat jest zawisły i niezbadane kierują nim moce,“ ale jako człowiek, będący z temi mocami w bliższych stosunkach, a więc świadomy rzeczy, przepowiada „groźny chaos,“ który „pozmienia dotychczasowy układ przyrodzenia, wstrząśnie wszechbytu morzem i pozrywa wszystkie wiążące się z sobą ogniwa.“ Wobec tak fatalnych proroctw nic dziwnego, że „do życia brak ochoty“ i nadzieja szczęścia znika, a poeta uważa za stosowne zejść z katedry przyrodniczej i wstąpić w kościołku swoim na ambonę.

Nie będę się kusił nawet o streszczenie tego pięknego kazania, które roztrząsa takie kwestye, jak „co to jest szczęście,“ jaki wpływ ma cierpienie na ducha, a jaki na ciało, i wiele innych, rozcinając je jednym zamachem, niby węzeł gordyjski, odsyłam czytelnika do samego źródła ku jego większemu zbudowaniu; chciałbym tylko zwrócić na tem miejscu uwagę na to, co jest rzeczywiście dodatnią stroną tych wierszy. A tę dodatnią stronę stanowi talent autora. Wpośród tych śmiesznie sztucznych, przeczących jeden drugiemu a nieprzeczutych erotyków, upstrzonych gdzieniegdzie gminną zmysłowością, wpośród tych słabiuchnych oddźwięków na niedolę ludzką, które tak wyglądają, jakby się w nie autor stroił, niby w świąteczny ubiór, wiedząc, jak każdemu z nim do twarzy, wpośród tej całej kiepsko zamaskowanej tetmajerszczyzny, wpośród tych pustych refleksyj i naiwnych dociekań błyśnie czasem tak żywa strofka, wiersz tak zdrowy, jedno słowo często tak dobrze rzecz malujące, że zdumiewa poprostu, skąd ono się na tem miejscu wzięło. A najwięcej tego w obrazach z natury.

Wierzymy zupełnie, kiedy p. Klemensiewicz mówi: „Chwile mi płyną w bezczynności,“ bo smutnie się to odbiło na jego poezyach. A szkoda, bo z tej mąki mógłby być chleb

Władysław Sterling.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. W „Bibliotece mrówki“ wyszły, H. Ibsena: „Mistrz Solness,“ A. Fredry: „Mąż i żona,“ „Don Kiszot,“ „List,“ „Pierwsza lepsza,“ „Odludki i poeta,“ „Zazdrość i przekora“; L. K. Lazarewicza: „Mój ojciec,“ J. Franki: „Obrazki galicyjskie,“ Z. Niedźwieckiego: „Topielec,“ E. A. Poego: „Nowele.“

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. „Encyklopedyi rolniczej“ wyszedł zeszyt 49 (Nawodnianie).

— „Dziejów powszechnych ilustrowanych“ wydano z. 162—171.

HISTORYA LITERATURY. A. M. Jasieński „Współcześni powieściopisarze angielscy“ (Caine, Kippling, Allen, Hardy), szkice literackie (212 str.), Paprocki.

SPRAWY EKONOMICZNE

ORGANIZACYA ŻYWNOŚCIOWA.

Fakt bieżące w warunkach bytu ekonomicznego ludności wielomilionowej może odegrać bardzo ważną rolę. Oto nadchodzą wieści alarmujące o nieurodzaju na tych rozległych obszarach czarnoziemnych, które nietylko głównie zasilały uboższe strony państwa, ale i rynki przemysłowej części Europy zachodniej. Wstrząśnienie ekonomiczne może być wielkie i gwałtowne. Jeszcze niedawno w prowincyach czarnoziemnych narzekano na nadzwyczajny spadek cen zboża, na brak odpowiednich środków przewozowych, na zapełnienie stacyj węzłowych wielkimi zapasami zboża unieruchomionego. Ceny były tak nizkie, że wielu ziemian podobno nawet zrzekało się zboża, powierzonego dostawcom, gdyż sam towar mniej był wart, niż jego transport. Naraz gwałtowna zmiana: szybkie podskoczenie cen i brak dostatecznych zapasów zboża, dowóz ustał. Zjawisko takie — nagłe przejście od obfitości i taniości do braku i cen wysokich — oczywiście odbić się musiało fatalnie na interesach ekonomicznych ludności.

Tam, gdzie jest urodzaj, zapasów wystarczy zaledwie na potrzeby miejscowe i w części na wyżywienie ludności w niektórych miejscowościach czarnoziemnych. Znaczne jednak obszary będą w wielkim kłopocie, powtórzą się dawne niedogodności, omyłki, zawody, pomimo że ogół ma jeszcze świeżo w pamięci klęskę z r. 1891 i uroczyście zapowiadane środki zapobiegawcze na przyszłość. Kto zna dzieje nieurodzaju z ostatnich lat kilkudziesięciu, ten wie, jakie on opłakane skutki pociągnął za sobą. W ciągu tych jednak lat kilkudziesięciu zmieniły się warunki ekonomiczne, wzrosły udoskonalenia techniczne i środki przewozowe, a jednak sama istota, treść złego — klęska nieurodzaju i widmo głodu, pozostały dziś takie same, jak dawniej. Przeciwdziałanie w tej mierze prawie ani na krok nie posunęło się naprzód. Gdy spadł na ludność wielomilionową głód w roku 1891-ym, nie było ani zboża zapasowego, ani kapitałów specyalnych, ani statystyki. I oto w tym pamiętnym roku dał się dotkliwie odczuć brak organizacyi żywnościowej. Państwo musiało chwycić się środków nadzwyczajnych, żeby jako tako ratować ludność: transportować bezpłatnie zboże dla głodnych, zabraniać wywozu za granicę, zmieniać do gruntu systemy i porządki kolejowe. Pomimo tych wysiłków bydło i konie wyginęły na wielkich przestrzeniach, gospodarka włościańska doszła do ostatecznej ruiny. Zdawało się, że po tak dotkliwem doświadczeniu powinna zapanować przezorność, zwłaszcza że okres 1892—1897 dość był pomyślny. Czterech lat wystarczyłoby na obmyślenie i wprowadzenie w życie środków odpowiednich. Czy o nich nie wiedziano? Przecież kwestya głodu i walki z nim stara jak świat.

Bardzo dowcipnie p. Szarapow powołał się na historyę Starego Testamentu: radę Józefa, udzieloną Faraonowi, ażeby męża mądrego zrobić gospodarzem ziemi egipskiej, ustanowić dozorców i przez siedem lat urodzaju zbierać do spichlerzy piątą część plonów, żeby wystarczyło tych zapasów na siedem lat głodu. A przecież w takim Egipcie przed tysiącami lat, gdzie nieznano ani techniki, ani środków przewozowych dzisiejszych, trudniej było, niż obecnie stworzyć właściwą organizacyę żywnościową. W teoryi mówiono o niej już bardzo dużo i obecnie należałoby tylko wynaleźć sposoby wprowadzenia w czyn tych pomysłów. Podczas ostatniego głodu doradzano to, co proponował Józef Faraonowi: w latach urodzajnych nabywać po cenach nizkich zboże. Żyto suche może leżeć dziesiątki lat w dobrym stanie. Otóż należałoby je gromadzić w składach rządowych i powoli doprowadzić do 100 milionów czetwerti. Tam, gdzie są ziemstwa, trzeba im poruczyć ten zakup. Proponowano dwa systemy gromadzenia zapasów: 1) składy rządowe na wypadek ogólnego nieurodzaju, wielkiej wojny, wreszcie w celu regulowania rynków; 2) magazyny wiejskie, regulujące niedobór miejscowy. Należałoby je wzmocnić i wprowadzić tam, gdzie dziś niema.

Oprócz powyższej organizacyi, p. Szarapow podawał jeszcze następujące środki: „W celach podtrzymania gospodarstwa wiejskiego i zapewnienia środków żywności konwertować np. około 300 milionów rubli długu procentowego na obligacye procentowe „Zarządu państwowych zapasów zboża," przy odpowiedniej emisyi biletów kredytowych. Stworzyć na ten cel zarząd powyższy, który skupi odpowiednią ilość zboża na żywność i nasiona, zbuduje sieć wielkich i małych elewatorów państwowych, rozdzieli terytoryalnie zapasy zakupione, słowem zcśrodkuje całą organizacyę żywnościową. Mając własny kapitał, zasilany ustawicznie wpływami ze sprzedaży, będzie mógł nietylko prowadzić operacye samodzielne, lecz jeszcze zaopatrywać ludność w nasiona dobrze oczyszczone i rozgatunkowane.

Gdyby taką organizacyę państwową wprowadzono, wywarłaby ona ogromny wpływ na warunki i życie ekonomiczne wielkich mas ludności, wytworzyłaby nowe i pewne rynki zbytu dla rolników, a więc uwolniłaby ich od wyzysku spekulantów i pośredników, dałaby lepsze ceny, niż dają owi pasorzyci w obecnych warunkach nienormalnych.

Nie trzeba się jednak łudzić, że taka organizacya, nawet przy wielkich środkach finansowych, da się łatwo wprowadzić i że w jej gospodarce na razie nie będzie grubych błędów. Na stworzenie takiego motoru regulacyjnego potrzeba wielkiej pracy i znacznej sumy doświadczenia. Ziemstwa oczywiście mogą tu odegrać ważną rolę, a ponieważ z czasem wejdą one i u nas w życie, więc otrzymalibyśmy je odrazu z tą czynnością znacznie rozszerzoną.

P.

PRASA POLSKA.

Gazeta Sądowa, która już wiele zasadniczych spraw naszych wyświetliła należycie ze stanowiska prawnego, tak mówi o sędziach gminnych z powodu świeżo podanego do Naczelnika kraju memoryału w tym przedmiocie:

„Zbytecznem chyba byłoby zastanawiać się nad znaczeniem sądów gminnych; a i nie potrzeba przytaczać dowodów, iż instytucya ta o tyle tylko odpowiadać może swojemu powołaniu, o ile jej przewodniczą ludzie, bezpośrednio stykający się z ludem, odczuwający jego potrzeby, znający jego zwyczaje, pojęcia i cele.

Temi też pobudkami kierował się prawodawca, gdy wprowadził do naszego kraju sądownictwo gminne wybieralne, gdy w art. 477 (org. wł. sąd.) orzekł, że sędziego gminnego, oraz ławników wybiera zebranie gminne.

Jeśli wszakże samym mieszkańcom powierzony został wybór kandydatów na rzeczone urzędy, to w życiu wcale nie widzimy owego „wolnego" wyboru, który wprowadzić chciano.

Że faktycznie wybory na członków władz gminnych odbywają się pod naciskiem władz administracyjnych, że często bardzo dostają się na stanowiska sędziów osoby narzucone, nie zaś dobrowolnie wybrane, to taki stan rzeczy wypływa w części z obowiązujących przepisów, przeważnie zaś z niewłaściwego ich stosowania.

Przypominamy, że art. 479 i nast. wkładają na władze administracyjne obowiązek układania list wyborczych, że w szczególności art. 486 stanowi o komunikowaniu listy wybranych kandydatów przez naczelnika powiatu gubernatorowi, który, w razie dostrzeżonych nieprawidłowości przy dokonaniu wyborów, wydaje polecenie co do ponownego przeprowadzenia tej czynności pod bezpośrednim nadzorem naczelnika powiatu. Dalej art 487 powtarza gubernatorowi, po porozumieniu się z prokuratorem właściwego sądu okręgowego, zatwierdzanie ławników; wreszcie wedle art. 488, listę wybranych przez gminy kandydatów na stanowisko sędziów gminnych przedstawia gubernator ministrowi sprawiedliwości, lecz od uznania tego ostatniego zależy zatwierdzić wybrane osoby, albo mianować innych kandydatów, aż do czasu dokonania ponownych wyborów.

Otóż wydaje nam się, że cała ta interwencya władz administracyjnych przy mianowaniu sędziów i ławników nie jest odpowiednią. Ustawy sądowe wypisały na swoim sztandarze hasło naczelne, któremu usiłują hołdować stale zawsze i wszędzie, a tem jest rozdział administracyi od sądownictwa. Prawodawca r. 1864 poszedł w tej mierze za wymaganiami teoryi prawa państwowego, które uznaje całkowite oddzielenie sądu od administracyi za rzecz niezbędną dla należytego rozwoju państwa. Ingerencya administracyi do wymiaru sprawiedliwości tudzież do wszystkiego, co ma z nią związek, w zasadzie swej niweczy niezależność, bez której sądownictwo normalnie działać i rozwijać się nie może. Jeśli jest zrozumiałym nadzór sądu nad temi czy innemi funkcyjami administracyi, to odwrotnie, wszelki wpływ tej ostatniej na sąd musi być niedobry. Takiemi zasadami kierowali się też redaktorowie ustaw sądowych i odrębność sądu wobec administracyi zaliczyli do podstaw całej reformy (por. Ustawy sądowe, wydanie Kancelaryi Państwa, cz. 1, st. XII).

Czyż wobec takich poglądów prawodawczych przepisy o wyborach na członków sądownictwa gminnego zgadzają się z myślą przewodnią całej reformy sądowej? Wątpimy, a pytanie to wywoła wprost odpowiedź przeczącą, jeśli zważymy, w jaki sposób władze administracyjne swój wpływ na same wybory wywierają. Powtarzamy jeszcze raz, że nie ograniczają się one do roli nadzorczej, nadanej im przez prawo, lecz uciekają się do interwencyi czynnej, o której wcale prawodawca nie myślał.

Pozostaje sprawa najważniejsza, tj. nominacya sędziów gminnych. Prawo, jakeśmy rzekli, oddaje ją ministrowi sprawiedliwości, który wybranych kandydatów zatwierdza.

Być może, iż powaga rządu wymaga, aby naczelny przedstawiciel wydziału sprawiedliwości w państwie swój głos stanowczy w tej mierze zabierał, lecz z drugiej strony prawodawca nie określa bliżej, czem kierować się winien gubernator przy zatwierdzaniu ławników, a minister przy mianowaniu sędziów; słowem, ci przedstawiciele władzy centralnej, mogą bez żadnych motywów odmówić zatwierdzenia przedstawionych kandydatów.

Lecz cokolwiekbądź dałoby się powiedzieć o samej procedurze zatwierdzenia sędziów, nie może być kwestyi, iż wyznaczanie z urzędu sędziów powinno być wyjątkiem czasowym, nigdy zaś regułą. Tak rzecz tę pojmował prawodawca, który przewidywał powierzanie obowiązków z urzędu tylko do czasu uskutecznienia nowych wyborów.

Tymczasem w praktyce dzieje się inaczej. Są okolice i sądy, gdzie sędzia z urzędu jest zjawiskiem stałem, gdzie nie posiada on zgoła charakteru tymczasowego. Czyżby w takich okolicach nie było odpowiednich kandydatów? Nie sądzimy. Potrzeba tylko pewnej dozy dobrej woli, aby się o tem naocznie przekonać. Wszyscy zaś dopomagać tu muszą. Nie można kłaść całej winy na barki władzy; trzeba, aby mieszkańcy właściwych okolic w każdym pojedynczym wypadku usiłowali przekonać o płonnych tych oba-

wach, składali wyjaśnienia, stwierdzające, że wybrani kandydaci odpowiadają wszystkim stawianym przez prawo warunkom i że powinni być do sprawowania obowiązków dopuszczeni."

W DALI.

Z Zawiercia donoszą *Kuryerowi Warsz.*: „Herszt opryszków, Malarski, został przed miesiącem zabity, ale banda jego istnieje i w dalszym ciągu grasuje w naszej okolicy. Co więcej, zabicie herszta, zamiast bandę poskromić, jeszcze bardziej ją widocznie rozzuchwaliło. Być może, iż na czele jej stanął nowy herszt, od Malarskiego zuchwalszy i energiczniejszy. Banda zaczyna obecnie podpalać osady, aby wśród wywołanego pożarem popłochu tem łatwiej rabować. Uwagi te nasunęły mi świeżo dwa wypadki pożaru w Zawierciu. W dniu 22 z. m. o godz. 12 w nocy, ogień pojawił się w obrębie fabryki Ginsbergów, ale dzięki energicznemu ratunkowi zgorzała tylko stodoła, w której narożniku ogień się pojawił. Straty były stosunkowo nieznaczne, gdyż, oprócz stodoły, spaliły się tylko zapasy paszy. Nazajutrz rano opowiadano po mieście o znalezieniu kartek, zapowiadających nowy pożar. Starałem się dowiedzieć, kto kartki znalazł, ale napróżno. Tymczasem o godz. 12 w nocy obudziły mnie ze snu sygnały alarmowe i wołania: pali się! Z okien mieszkania dostrzegłem olbrzymią łunę i płomienie w osadzie. Straż ogniowa udała się natychmiast na miejsce i rozwinęła energiczną akcyę ratunkową. Niestety, wiatr ratunek utrudniał. Mimo nadludzkich niemal wysiłków straży ochotniczej, zgorzało siedem domów, trzy stodoły, około 10 sztuk inwentarza żywego, oraz kilkadziesiąt narzędzi rolniczych. Wśród ogólnego popłochu z domu sołtysa Szczygła znikł kufer. Znaleziono go nazajutrz w lesie. Był już rozbity i wypróżniony. W kufrze tym miał sołtys kilkaset rubli. Fakt zrabowania kufra naprowadza nas właśnie na domysł, że to istotnie banda Malarskiego wzniecą pożary, celem ułatwienia sobie grabieży, że umyślnie zapowiada pożary, aby mieszkańców niepokoić, zdenerwować, znużyć i następnie ograbić. Ponieważ w ciągu ostatniego roku popełniono w Zawierciu i w okolicy szereg zbrodni, czyż dziwić się kto może, iż z obawą i niepokojem wielkim żegnamy zachodzące słońce, że mrok wieczorny witamy niechętnie?"

Na pomnik Mickiewicza

nadesłane po zamknięciu składek:

	rs.	k.
Jałowiecki	25	—
Leonia Witortowa z Poniewieża	5	—
Franciszek Ostrowski z Tyflisu	1	—
Stanisław i Aleksandra Bachnicy z Boryszewki	2	—
Antoni Jędrzejewski z Alagira, z ziemi Terskiej	10	—
Z Litowszczyzny, gub. Wileńskiej:		
Lucyan Hrehorowicz	3	—
Syn jego Lucyś Hrehorowicz	1	—
Michalina Hrehorowicz	2	—
Zunia Hrehorowicz	—	50
Marusia Hrehorowicz	—	50
Zuzanna Stankiewicz	—	50
Paulin Wincza	1	—
Malwina Wincza	1	—
Karolina Wincza	1	—
Anna Wincza	1	—
Seweryn Wincza	1	—
Od służących:		
Antoni Lemieszko	—	10
Stanisław Wyszadkiewicz	—	10
Łukasz Lipski	—	10
Zofia Wojciechowiczówna	—	10
Eleonora Narkiewiczówna	—	10
Z Dorohowicy, g. Mińska:		
Kazia Stankiewiczówna	1	—
Bernatowiczowa	—	20
Z Dorohowickiego zaścianka Zosina:	rs.	k.
Michał Tarasewicz	—	10
Jarmolińska, wdowa	—	10
Jan Jarmoliński (syn Macieja)	—	10
Jan Jarmoliński (stary)	—	15
Jan Jarmoliński (syn Pawła)	—	15
Paweł Jarmoliński	—	5
Hipolit Jarmoliński	—	30
Walery Tumiłowicz	—	20
Józef Jaroszowicz	—	10
Jaroszewiczowa	—	5
Dzieci Jaroszowiczów:		
Franusia	—	5
Wikcia	—	5
Helka	—	5
Marcia	—	3
Marylka	—	3
Grześ	—	7
Staś	—	3
Od bezimiennych	—	49
Marya Wierzbowska ze Starego Dworu	1	—
Bezimiennie	—	5
Razem	rs. 60	k. 35
a z poprzedniemi	„ 66	—
Ogółem	rs 126	k. 35

KRONIKA.

Bezrobocie. *Warsz. Dziennik* donosi: „Robotnicy piekarni warszawskich, uważając pobieraną przez siebie płacę za nieodpowiadającą ilości pracy, ostatnimi czasy (dla poparcia swoich żądań, z jakiemi się zwrócili do właścicieli piekarni) uciekli się do bezprawnego środka — bezrobocia, które niezawodnie zauważyli Warszawianie, odczuwający wskutek tego chwilowo niewygody. W sobotę d. 24 lipca wieczorem nie stawili się do zajęcia robotnicy wielu piekarni żydowskich: a nazajutrz zebrali się tłumnie w liczbie 200 osób za rogatką Powązkowską. P. gubernator warszawski przybył osobiście na miejsce, objaśnił robotnikom bezprawność ich postępku i wezwał do natychmiastowego rozejścia się, co też bez oporu zostało spełnione, przyczem robotnicy prosili rz. r. st. Martynowa, ażeby ich przyjął pod swoją opiekę i oddał pod nadzór inspekcyi fabrycznej. W d. 27 lipca zaczęły się bezrobocia w piekarniach, należących do chrześcian, a w d. 29 lipca rano robotnicy piekarscy jeszcze w liczniejszym tłumie zgromadzili się na placu Mokotowskim, lecz na żądanie policyi rozeszli się, przyczem uporczywsi byli zatrzymani i po zbadaniu w kancelaryach cyrkułowych, odstawieni na miejsca zamieszkania. Następnie znaczna większość robotników powróciła do zajęć. Prośba robotników o oddanie ich pod nadzór inspekcyi fabrycznej dostatecznie określa pożytek, jaki przynoszą te instytucye, występujące w charakterze pośredników między właścicielami zakładów przemysłowych a ich robotnikami. Rzecz naturalna, że nieporozumienia podobne do opisanego byłyby prawie niemożliwemi, gdyby wszystkie zakłady przemysłowe pozostawały pod zarządem instytucyj fabrycznych i podlegały kontroli inspektorów fabrycznych i ich pomocników."

Wiec cieszyński. Oburzeni niedotrzymaniem słowa przez rząd co do przyznania prawa publiczności gimnazyum cieszyńskiemu, Szlązacy zwołali wiec do Cieszyna, celem zaprotestowania przeciwko takiemu postępowaniu ministra oświaty, działającego w porozumieniu z całym gabinetem. Rada gminna miasta, składająca się przeważnie z Niemców, założyła wprawdzie protest przeciwko zakłócaniu w ten sposób „narodowego spokoju" lojalnej dotychczas ludności; protest ten jednak nie wywarł żadnego skutku. Na wiec przybyło około dziesięciu tysięcy ludzi z różnych stron. Zgromadzenie, któremu przewodniczył ksiądz Świeży i w którem wzięli udział Lewakowski, Danielak, Bojko, Stopiński, Sokołowski i inne osobistości polityczne, odbyło się — jak donosi korespondent *Kuryera Codz.* — z wielką godnością. Po mowach ks. Ś. i dr. Michejdy wiec uchwalił rezolucyę, wzywającą rząd do równouprawnienia języka polskiego na Szlązku i przyznania gimnazyum cieszyńskiemu słusznie żądanych praw publiczności. Brak stanowczości i konsekwencyi w raz powziętym przez hr. Badeniego kierunku osłabia wiarę w jego dobre chęci u Słowian austryackich i stwarza coraz cięższą sytuacyę. Wiec cieszyński spotęguje niezawodnie na Szlązku ruch emancypacyjny.

Wiadomości społeczne. *Prawit. Wiest.* ogłasza ustawę normalną dla towarzystw, niosących pomoc bezpośrednią ubogim.

— Grono filantropek wniosło do Towarzystwa dobroczynności prośbę o pozwolenie na otwarcie oddziału schronienia dla kobiet samotnych, nieposiadających opieki. Opłata za utrzymanie ma wynosić rs. 300 lub 2,000 jednorazowo.

— W r. b. stanie pomnik Mickiewicza w Karlsbadzie.

— W końcu r. b. upływa kadencya prezydyum warsz. Tow. dobroczynności. Zebranie będzie wybierało prezesa, sekretarza i 14 członków zarządu. Spodziewane są poważne zmiany w dotychczasowym składzie.

— W *Gońcu Urzędowym* ogłoszono prawo o zmianach w obowiązujących przepisach o odpowiedzialności gubernatorów za przestępstwa służbowe. Odtąd orzeczenie senatu rządzącego co do pociągnięcia gubernatorów do śledztwa, oddania ich pod sąd i usunięcia od obowiązków może być wykonywane nie inaczej, jak po wyjednaniu na to zezwolenia Najwyższego przez komitet ministrów.

Szkoły. W d. 31 lipca odbył się popis i rozdanie świadectw praktykantom w muzeum Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego.

— W kieleckiem gimnazyum męzkiem egzaminy rozpoczną się 28 sierpnia.

— W szkole realnej w Łowiczu egzaminy wstępne i poprawkowe rozpoczną się 19 sierpnia. Miejsca wolne są we wszystkich klasach.

— Zapisy nowowstępujących do szkoły handlowej Rontalera będą trwały do 20 sierpnia, w którym to dniu rozpoczynają się egzaminy. Lekcye zaczynają się 1 września.

— B. nauczyciel gimnazyum, p. Emilian Konopczyński, otwiera w Warszawie z początkiem roku szkolnego sześcioklasową szkołę realną z klasą przygotowawczą.

— Zapis kandydatów do szkoły Mittego rozpocznie się 13 sierpnia.

— W szkole realnej kaliskiej egzaminy wstępne rozpoczną się 28 sierpnia, powakacyjne — 20 sierpnia. Miejsca wolne są w klasach: przygotowawczej, I, IV i V-ej.

Koleje i komunikacye. Kolej Warszawsko-Wiedeńska zamyka peron dla osób, niezaopatrzonych w bilety do jazdy. Jest to naśladownictwo zwyczajów zagranicznych.

— Przedstawiono do zatwierdzenia projekt budowy drogi żelaznej, biegnącej pasmem gór Kaukazkich.

Zdrowie publiczne. Na posesyi, należącej do zakładu paralityków, położono fundament pod nowy szpital na 30 osób.

— Departament dróg żelaznych, uwzględniając protesty pasażerów, zmuszonych często jechać wespół z chorymi na choroby zakaźne, zabrał się do wypracowania specyalnych przepisów, celem uregulowania tej kwestyi.

— W r. b. Towarzystwo kolonij letnich wysyła na wieś 2,105 dzieci, czyli o sto z górą więcej, aniżeli w roku zeszłym.

Wystawy i zjazdy. Na zjazd lekarski w Moskwie zapisało się po d. 31 lipca 700 uczestników.

— Równocześnie z otwarciem VII-go międzynarodowego kongresu geologicznego w Petersburgu, w nowem Muzeum Cesarskiej Akademii nauk, gdzie się będą odbywały posiedzenia zjazdu, zostanie urządzoną międzynarodowa wystawa geologiczna.

— Z inicyatywy warsz. Tow ogrodniczego odbędzie się pomiędzy 5—9 września w gmachu cyrkowym w Radomiu wystawa ogrodnicza.

— Dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Mickiewicza, ma się odbyć we Lwowie 1898 r. zjazd literatów i dziennikarzy polskich i słowiańskich.

— W Radomiu odbędzie się w d. 5—8 września wystawa koni.

— W Dobromilu w Galicyi odbył się zjazd przedstawicieli straży ogniowych, na który przybyło 118 delegatów.

— W Paryżu odbywa się międzynarodowy kongres socyologiczny.

Przemysł i handel. Towarzystwo wzajemnego kredytu w Płocku rozwija się pomyślnie. Przypływ kapitałów przewyższa potrzeby.

— Ministeryum finansów opracowało projekt uporządkowania systemu pobierania podatków.

— Ze wszystkich okolic kraju dochodzą narzekania na ciągłe deszcze, które uniemożliwiają sprzęt i grożą nieurodzajem. Żyto prawie przepadło, pszenica zagrożona. Chleb drożeje. Spodziewany jest znaczny niedobór. Nawet kartofle, wskutek wilgoci, psują się.

— Ministeryum finansów zamierza wprowadzić solo-wekslowy kredyt dla ziemstw.

— Mieszkańcy m. Kielc opracowali projekt ustawy Towarzystwa kredytowego miejskiego i złożyli go gubernatorowi kieleckiemu z prośbą o przedstawienie władzom wyższym do zatwierdzenia.

— Na ostatniej sesyi zjazdu przedstawicieli kolejowych postanowiono, ażeby wszelkie ulgi taryfowe, stosowane do przedmiotów, które wysyłano dla drogi syberyjskiej, dotyczyły również materyałów, wysyłanych do budowy linii Chińsko-Mandżurskiej. Dzięki temu nasi przemysłowcy mogą brać udział w dostawie materyałów dla wymienionej kolei.

— W Warszawie założono akcyjną fabrykę naczyń emaliowanych, z kapitałem 750,000 rs. (400 akcyj po 125 rs.). Akcye znajdują się przeważnie w ręku Belgijczyków.

— Z krajowych przedsiębiorstw przemysłowych kilka zamienia się na akcyjne: fabryka przetworów chemicznych „Welta“ w Warszawie, fabryka wyrobów wełnianych w Myszkowie br. Szemcer, odlewnia stali w Blizynie (z kap. 1,200,000 rs.), fabryka cementu „Ostrów,“ przędzalnia łódzka „Leonhardt, Welker i Gibhardt,“ firma A. Blazy i Sp. Należne podania do ministeryum już wniesiono.

— Ustawa wszechrosyjskiego stowarzyszenia fabrykantów cukru i reprezentacyi tego przemysłu pozyskała ostateczne zatwierdzenie p. ministra finansów.

Wypadki. W Saksonii, na Szlązku i wogóle w Europie środkowej, wskutek nadmiernych deszczów, srożą się powodzie. W Saksonii, w samej tylko dolinie Bystrzycy (Weisstritz) utonęło 60 ludzi, w górach szląskich — 123 osób. Szkody na Szlązku obliczają na 12 milionów marek.

Odpowiedzi Redakcyi.

Litwinowi. Naprzód zdania Pańskiego nie podzielamy, a racye naszego poglądu wielokrotnie wygłosiliśmy w *Prawdzie*, to nie jest zbytek, ale wielki moralno-społeczny użytek. Powtóre, po co walczyć z faktem spełnionym?

Stałemu prenumeratorowi. W *Prawdzie* nie wyjdą, lecz osobno. Zasadniczej idei niedokończonego utworu tłomaczyć nie możemy.

Panu A. K. w Pod. Fantazyi Pańskiej brak... fantazyi. Wiotkie tkanki tego rodzaju muszą być robione z nici bardzo delikatnych i barwnych.

Panu Franciszkowi M. w Krośnie. Prosimy o przysłanie więcej.

Panu F. J. w Zg. Do adresu dodać trzeba: porucznik batalionu rezerwowego.

SPROSTOWANIE. W nr. 31, w art. „Jan Chr. Pasek,“ str. 368, w. 20 od dołu, zam. *bezmyślno*, czytaj: *bezmyślnie*.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Іюля 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8